Nr. 6. Poznań, dnia 9-go lutego 1913 Rok XVII.

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . 2,– z odnoszeniem do domu . . . 2,12 pod opaską . . 3,50

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38
Telefon Nr. 397.
OGŁOSZENIA: od wiersza drobnego 30 fen.

Tygodnik polityczny i literacki, illustrowany.

Klęska hakatyzmu.



Rozgłośnem echem odbiły się w świecie rozprawy w parlamencie niemieckim nad interpelacyą polską w sprawie wywłaszczenia.

Rozprawy te wykazały, że kłamstwem jest, iż naród niemiecki popiera pruską politykę antypolską. Pokazały one raczej, że naród niemiecki w olbrzymiej większości brzydzi się tą polityką gwałtu i potępia ją. A, żeby nie było co do tego żadnych wątpliwości, przyjął parlament wniosek Koła polskiego, który opiewa, iż dopuszczenie ze strony kanclerza wywłaszczania majątków polskich dla celów kolonizacyjnych nie zgadza się z poglądami parlamentu.

Wniosek ten, będący równoznaczny wyrażeniu votum niezaufania dla kanclerza, przyjęto 213 głosami przeciwko 97. 43 posłów wstrzymało się od głosowania.

Za wnioskiem głosowali oprócz Polaków centrowcy i socyaliści, tudzież przedstawiciele narodowości uciśnionych jak Alzaci, Welfowie i Duńczyk.

Przeciw wnioskowi głosowały stronnictwa hakatystyczne: obie partye konserwatywne, antysemici i narodowi liberałowie.

Od głosowania wstrzymali się wolnomyślni. Uczynili to jednak nie dlatego, jakoby pochwalali lub uniewinniali politykę antypolską rządu pruskiego, lecz dlatego, że zdaniem ich kwestya wywłaszczenia jest wyłącznie sprawą pruską, przeto przed forum sejmu pruskiego, a nie przed parlamentem winna być roztrząsana. Co do sprawy samej, oświadczyli także wolnomyślni jasno i otwarcie, iż są przeciwnikami antypolskiej polityki rządu pruskiego wogóle, a wywłaszczenia w szczególności.

Tak tedy, nie popełniając fałszerstwa i przekręcania faktów, stwierdzić należy, że na 353 obecnych przy głosowaniu posłów tylko 97 oświadczyło się za rządem, cała reszta zaś, czyli niemal trzy czwarte przedstawicielstwa narodowego niemieckiego, opowiedziało się przeciw rządowi.

Znaleźli się ludzie i pisma, i niestety nie tylko niemieckie, które usiłowały pomniejszyć dotkliwą i haniebną klęskę rządową, tłumacząc, że spowodowały ją żywioły nienarodowe, i dowodząc, że istotnie przedstawiciele niemczyzny bądź to stanęli twardo za rządem, bądź wstrzymali się od głosowania.

Tłumaczenie to najlżejszej nie wytrzymuje krytyki.

Centrowcom bowiem, reprezentującym $^1/_3$ część ludności Niemiec i będącym w Niemczech rządzącą partyą, chyba przewrotny hakatysta tylko odmówi charakteru narodowego. Co zaś do socyalistów, to — rzecz jasna — jestto partya par excellence opozycyjna, a nawet rewolucyjna, dążąca do przewrotu istniejącego porządku społecznego i politycznego w Niemczech. Czy jednak można partyę, szczycącą się 4 milionami głosów wyborczych, a więc przedstawiająca z rodzinami $^1/_3$ ludności niemieckiej, wymazać z wielkiej rodziny niemieckiej, odmówić jej prawa współreprezentowania ducha i sumienia niemieckiego?

Fakt, że socyaliści nie godzą się na aktualnie istniejącą ojczyznę niemiecką i dążą do jej przeobrażenia według swojego ideału, może być dla miłośników tej ojczyzny bardzo przykry i bolesny, lecz nie daje im prawa do odsądzania ich od niemieckości.

Mają oni do nazwy Niemców takie same prawa jak owych 97 konserwatystów i narodowych liberałów, w których się u nas tak chętnie rdzeń ludności niemieckiej upatruje.

A dalej, czy i zachowanie się wolnomyślnych, tej partyi lubo liczebnie słabej w parlamencie, to jednak dysponującej olbrzymią potęgą prasową i urabiającej w lwiej części opinię publiczną w Niemczech, czy i ono nie przemawia druzgocąco na niekorzyść rządu? Czyż fakt, że wolnomyślni — bądź to z formalnych, bądź—co prawdopodobniejsza — z oportunistycznych względów — wstrzymali się od głosowania potępiwszy jednak stanowczo i dosadnio całą antypolską politykę — czyż fakt ten nie świadczy jasno i niezbicie, że i ta część bardzo wybitnie narodowo usposobionych Niemców pozostaje w sprawie polityki antypolskiej w ostrem przeciwieństwie do rządu?

Jeżeli przyjrzymy się dokładnie przeciwnikom i zwolennikom rządu w sprawie wywłaszczenia, poznamy, że

wszystkie niezależne od niego żywioły stanęły po stronie Polaków, a raczej po stronie konstytucyi, sprawiedliwości i prawa reprezentowanego przez wniosek polski. Za rządem opowiedziały się partye zawdzięczające swoje znaczenie i wpływy we wielkiej mierze łasce rządowej, a ponadto złożone w znacznej części z ludzi bezpośrednio lub pośrednio od rządu zależnych i wielorakiemi względami i interesami z nim skuzynowanych.

Co do nas, wolimy tak w interesie Niemiec i Niemców jak przedewszystkiem w interesie własnym raczej w przeciwnikach polityki antypolskiej upatrywać rdzeń narodu niemieckiego, aniżeli w nielicznych — chociaż chwilowo i zapewne długo jeszcze wpływowych — jej poplecznikach.

Widzimy tedy, że klęska rządu pruskiego, boć to on w osobie kanclerza znalazł się przed forum parlamentu w roli oskarżonego, była zupełna, właśnie dlatego, że zadało mu ją zgromadzenie posłów wybranych na zasadzie systemu wyborczego, umożliwiającego każdemu wyborcy należyty wpływ na wynik głosowania.

Ich werdykt ma w bez porównania wyższym stopniu niż werdykt posłów sejmowych ważność i walor głosu sumienia narodowego. Głos zaś ten padł przeciw rządowi i napiętnował dosadnio niesłychane antypolskie praktyki hakatystyczne.

Policzek ten palący — powtarzamy — wymierzyła rządowi pruskiemu niezależna ludność niemiecka, skorzystawszy z pierwszej nadarzającej się okazyi ku temu.

Jestto bezsprzecznie wielka dla nas moralna satysfakcya i słusznie dni 29 i 30 stycznia jako dni walnego tryumfu w kalendarzu naszym politycznym zapiszemy.

Jednakże nie łudźmy się, aby praktyczne skutki tej uchwały były zbyt daleko sięgające.

Stwierdzenie, że przeciwko sobie nie mamy większości narodu niemieckiego, jest ważne. Z drugiej strony nie zapominajmy, że w Prusach stosunek żywiołów wobec nas wrogo a sprawiedliwie usposobionych nie jest równo pomyślny jak w Niemczech, że zatem nawet bardzo radykalna reforma obecnego systemu wyborczego w Prusach nie gwarantowałaby zupełnego rozwiązania kwestyi polskiej, lubo ufać należy, żeby położenie nasze znacznie na korzyść zmieniła.

Niepodobna też uwierzyć, aby rząd pruski wystraszył się parlamentu i antypolską chorągiewkę zwinął.

Tak np. p. Bethmann Hollweg ani myśli ustąpić. I chociaż trudno przypuścić, aby miał sobie jako prezes gabinetu pruskiego wprost kpić ze sentymentu parlamentu, to jednak wątpić można, że znajdzie w sobie dość siły, aby oprzeć się naporowi hakatystów, którzy teraz podwoją i potroją usiłowania, by postawić na swojem i rząd w posłuszeństwie utrzymać.

Tak tedy główny sukces nasz — to sukces moralny.

Bądźmy z niego zadowoleni i pamiętajmy, że nie ma sukcesów materyalnych bez uprzednich zwycięstw moralnych, które są na prawdę istotnemi Wszelkie zmiany bowiem na złe i na dobre, jakie się w świecie dokonują, z ducha i sumienia ludzkiego początek biorą. Te zaś istotnie twórcze i kształtujące historyę i życie potęgi za nami doniosłym przemówiły głosem.

Tego głosu prędzej czy później usłuchać będzie musiała brutalna siła, pod której naporem ciężki nasz żywot pędzimy.....



Gdzież solidarność?!

> Something is rotten in the state of Denmark.
>
> *Hamlet.*

Zebrało się niedawno temu w pewnym domu prywatnym grono poważnych osób, by wysłuchać nader interesującego wykładu, wygłoszonego przez gościnnego gospodarza. W dyskusyi, która się następnie wywiązała, ktoś — powołując się na liczne przykłady z przeszłości naszej, z ubolewaniem twierdził, że mimo wielkie zalety nasze, jesteśmy jednak narodem bardzo a bardzo niekarnym. Pesymistycznemu temu zapatrywaniu przeciwstawił się ktoś inny, zaznaczając, że jakkolwiek historya nasza zawiera liczne przykłady niesforności, to jednak nie należy tego zarzutu rozciągać na cały naród, gdyż naród polski jako całość, jako zbiorowisko wszystkich warstw społecznych, nie miał sposobności ujawnić swego charakteru w historyi. Objawił się tam raczej charakter magnateryi i szlachty naszej. Jaka natomiast jest fizyognomia duchowa mieszczaństwa i ludu naszego — tego dokładnie jeszcze nie wiemy, gdyż warstwy te zaledwie od wieku wyłoniły się na widowni dziejowej, niepodobna ich zatem sprawiedliwie osądzić.

Na to inny odezwał się głos, dowodząc, że słusznie można z historyi naszej — aczkolwiek była ona szlachecka — sądzić o charakterze całego narodu, gdyż obecnie, kiedy mieszczaństwo i lud mają sposobność czynnie występować w sprawach publicznych, ujawniają w życiu publicznem w zasadzie te same właściwości ducha i charakteru, co ongiś za wolnej Rzeczypospolitej szlachta. Zmieniły się tylko role. Gdy wówczas magnat papką i czapką kaptował sobie kreski i zjednywał sobie zwolenników wśród tłumu szlacheckiego — dziś wśród tłumu mieszczańskiego i ludowego czyni to agitator. Tłum tak wtedy jak dziś jest bezkrytyczny. A nie jedno zebranie dzisiejsze jak dwie krople wody podobne jest do ówczesnych sejmów szlacheckich. Ta sama tam w gruncie rzeczy buta, ta sama kłótliwość, ta sama anarchia, to samo nieprzebieranie w środkach, gdy chodzi o osiągnięcie swego widzi mi się... Zmieniły się formy i pozory, lecz najgłębsza treść charakteru chłopa i mieszczanina naszego nie różni się od charakteru szlachty. Niesforność bowiem to nie właściwość stanowa, lecz właściwość narodowa, ogólno-polska wada. Żadna warstwa nie jest od niej wolna i lubo intensywność jej zmalała na szczęście, wada ta pokutuje w nas i zapewne jeszcze długo pokutować będzie.

Jakby na ilustracyę tych słów, nadchodzi z Berlina wieść, że przy wniosku Ablassa, domagającym się dla rady związkowej upoważnienia do częściowego lub całkowitego zniesienia ceł od bydła i mięsa, aż trzech posłów polskich złamało obowiązującą w Kole polskiem zasadę solidarności.

Mimo uchwałę Koła, postanowiającą odrzucenie tego wniosku, p. Sosiński głosował za wnioskiem, pp. Nowicki i Czarliński zaś — wbrew jasnemu przepisowi regulaminu Koła, który zezwala na wstrzymanie się od głosowania przez opuszczenie sali obrad po poprzedniem powiadomieniu prezydyum Koła — wzięli udział w głosowaniu, oddając kartki niebieskie, czyli nie oświadczając się ani za ani przeciw wnioskowi.

Co do uchwały Koła przeciw wnioskowi Ablassa, zaznaczyć należy, że była ona najzupełniej prawidłowa i zgadzająca się z wolą i interesem całego społeczeństwa. Odbywały się bowiem w kwestyi ceł zebrania w Poznaniu — w zebraniach tych uczestniczyli także przedstawiciele robotników aż z Westfalii przybyli. Robotnicy ci początkowo nieprzychylnie dla ceł usposobieni, przychylili się pod wpływem dowodzeń i argumentacyj na stronę zwolenników ceł, uznawszy, że cła te pośrednio i dla rzesz robotniczych są korzystne. Tak tedy bez przesady rzec można, iż uchwała Koła odzwierciedlała sentyment i wolę ogółu społeczeństwa.

Na konflikt sumienia więc nie była powinna narażać swych członków. A gdyby tak było, należało opuścić salę i nie brać w głosowaniu udziału.

Tak się niestety nie stało. Wzmiankowani posłowie stanęli w jaskrawem przeciwieństwie do istotnych swych o-

bowiązków. I jeżeli jeszcze jako tako, jeżeli nie uniewinnić — bo to jest wykluczone — lecz wyrozumieć można postępek p. Sosińskiego, który jako prezes Zjednoczenia Zawodowego Polskiego uległ pokusie liczenia się także jako poseł ze sentymentem pewnej części członków tej organizacyi, jeżeli w daleko mniejszej mierze te same względy przemawiają na korzyść p. Nowickiego, który w podobnem jest położeniu, to dla p. Czarlińskiego, wybranego przez ludność wyłącznie niemal rolniczą, zgoła żadnego nie znajdujemy wytłumaczenia.

Postępek tych panów na bezwzględne zasługuje potępienie nie tylko dlatego, że obniża powagę Koła wobec rządu i innych stronnictw, lecz przedewszystkiem dlatego, ponieważ daje społeczeństwu jaknajgorszy przykład, uczy je lekceważenia prawnie ustanowionych władz i łamania tej zasady, które społeczeństwo za palladyum swoje uważać powinno: zasady absolutnej solidarności we wszystkich działaniach nie odbywających się ściśle w obrębie samegoż społeczeństwa.

Jeżeli od kogo, to od posłów wymagać należy poszanowania dla władz i dobrego przykładu. Jakże wytłumaczyć prostemu człowiekowi, że powinien się wystrzegać secesyi jak ognia, skoro sami posłowie secesyę uprawiają!

Gdy wybuchła smutnej pamięci secesya poznańska odzywały się głosy, aby secesyonistów wyrzucić po za nawias społeczeństwa. Było to — naszem zdaniem żądanie przesadne, ale charakteryzowało dosadnie. głębokie rozgoryczenie pewnej części opinii naszej.

Cóż powiedzieć o posłach, zajmujących stokroć bardziej eksponowane stanowisko, gdy ich się widzi podobnie postępujących? Bardziej niż nasze rygorystyczne społeczeństwo zawezwałoby ich do złożenia urzędów, boć wybieramy posłów na program Koła polskiego, zatem żądamy, aby się poddali i regulaminowi obowiązującemu. I gdyby jeszcze takie lub owakie oddanie głosu zdolne było zadecydować o losie wniosku, możnaby ostatecznie zrozumieć wyłamanie się z pod solidarności. Wtedy ryzykowana ta gra wartaby była przynajmniej świeczki. Skoro jednak możliwość ta była wykluczona, zachowanie się wzmiankowanych posłów nie wznosi się niczem ponad niesmaczną i demoralizującą demonstracyę, nad czem tylko najżywiej ubolewać trzeba.

Jest — zdaje się — istotnie coś zgniłego w naszym charakterze, jakieś przeczulenie poczucia własnej godności, jakaś dziwna słabość woli, która nie potrafi ugiąć odśrodkowych, warcholskich popędów pod kategoryczny imperatyw obowiązku... I aczkolwiek poprawiliśmy się znacznie pod tym względem, tak znacznie, że niemal o przerodzeniu się charakteru narodowego mówić można — to jednak od czasu do czasu wybuchają atawistyczne objawy starej choroby... jak np. we wyżej omawianym wypadku.

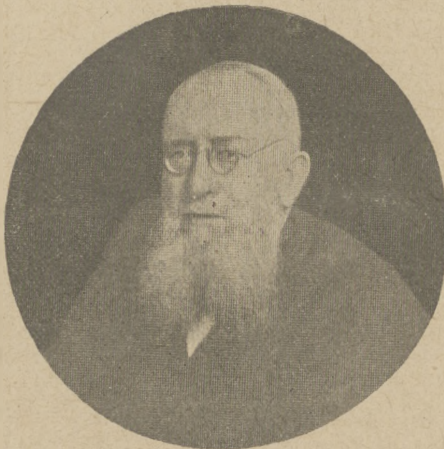
Sprawa Wywłaszczenia w parlamencie niemieckim.

Świetne moralne zwycięstwo odnieśliśmy świeżo w parlamencie niemieckim z powodu dyskusyi, która się tamże wywiązała nad interpelacyą Koła polskiego w sprawie wywłaszczenia.

Ku wiecznej rzeczy pamiątce zamieszczamy poniżej podobizny tych posłów, którzy w tej sprawie bądź to bardzo zaszczytną, bądź też bardzo wstrętną oderali rolę.

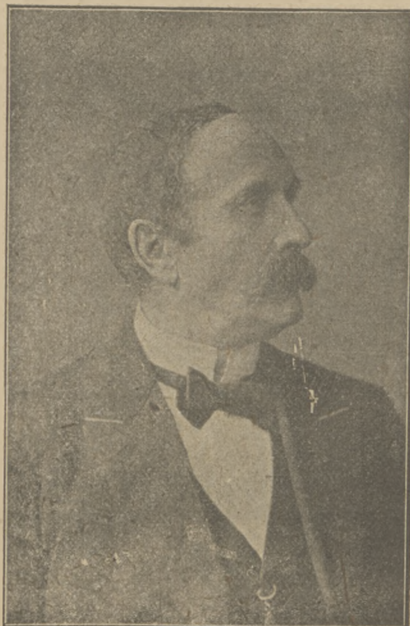
Sekretarz stanu w urzędzie spraw wewnętrznych Lisko oświadczył w imieniu nieobecnego kanclerza, że sprawa wywłaszczenia jest wewnętrzną sprawą Prus i leży poza obrębem kompetencyi państwa. Dlatego kanclerz odmawia odpowiedzi na interpelacyę.

Po oświadczeniu powyższem nastąpiła dyskusya. Przeciw dyskusyi głosowali konserwatyści, stronnictwo państwowe, część narodowo-liberalnych. Stół rady związkowej świecił pustką.



Dr. Jan Kaempf, marszałek parlamentu.

Dr. Jan Kaempf, marszałek parlamentu, przewodniczył z powagą podczas dyskusyi.



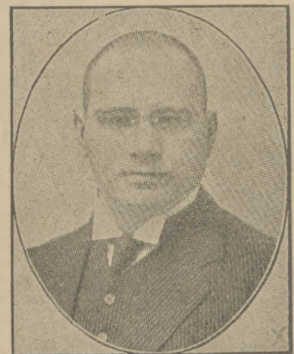
Poseł Leon Czarliński.

Poseł Leon Czarliński wniósł o dyskusyę.



Poseł Władysław Seyda.

Poseł, wiceprezes Koła polskiego Władysław Seyda, oświadczywszy na wstępie, iż wywłaszczenie jest hańbą stulecia, uzasadniał interpelacyę w świetnej mowie; zaznaczywszy, że rząd pruski działa wprost rewolucyjnie i zaostrza coraz bardziej stosunki, ale nigdy nie osiągnie celu zdziesiątkowania narodu polskiego, choćby tysiące Polaków wypędzono z ich własności. Wewnętrzna łączność Polaków wzmocni się tem bardziej.



Poseł Wendel.

Poseł Wendel, socyalny demokrata, z zawodu redaktor, piętnował w sposób satyryczno-humorystyczny politykę pruską antypolską, zaznaczywszy z naciskiem, iż gnębiciele

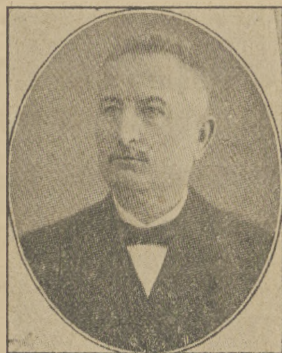


Poseł hr. Praschma.

Polaków nie cofają się nawet przed łamaniem konstytucyi i rewolucyą, gdyż

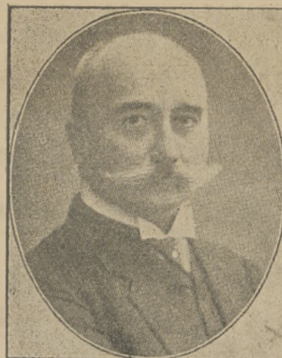
wywłaszczenie jest zamachem z góry. Stronnictwo socyalno-demokratyczne zgadza się jednomyślnie na wniosek Polaków.

Poseł hr. Praschma, centrowiec,
oświadczył, iż stanowisko centrum wobec polityki polskiej, oparte na zasadach sprawiedliwości i dobra państwa, jest niezmienione od lat 80-ciu, więc Centrum jednomyślnie zgadza się na wniosek Polaków.



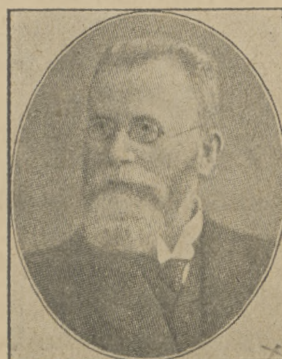
Poseł Schlee.

Poseł Schlee, narodowy liberał, radzca sprawiedliwości z Torunia,
nie wahał się oczywiście chwalić ustawy wywłaszczycielskiej, oświadczywszy w imieniu swej partyi, iż narodowi liberałowie głosować będą przeciw wnioskowi Polaków, gdyż podzielają stanowisko rządu.



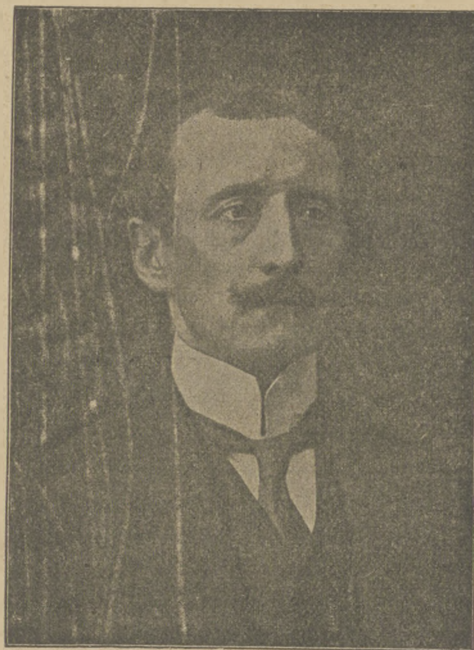
Poseł hr. Carmer.

Poseł hr. Carmer, konserwatysta,
oświadczył, iż ataki na politykę Prus nie poniżą godności Prus. Mówca stanowczo odpiera twierdzenie, jakoby ustawa wywłaszczająca była sprzeczną z konstytucyą Rzeszy. Będzie głosował przeciw wnioskowi, bo podziela stanowisko rządu.



Poseł Pachnike.

Poseł Pachnike, postępowiec, literat,
przyznawszy w sprawie wywłaszczenia kompetencyę Prusom, oświadczył: My, wstrzymując się od głosowania nad wnioskiem, czynimy to dlatego, bo szanujemy obecne stosunki przynależności, ale potępiamy polską politykę rządu. Im prędzej ona runie, tem będzie lepiej dla niemieckości.



Poseł Franciszek Morawski.

Poseł Franciszek Morawski
wypowiedział świetną mowę, zaznaczywszy, że w łańcuchu ucisku polskiego ludu prawo wywłaszczenia stanowi koronę nikczemności. Mówca zapytuje się każdego uczciwego niemieckiego obywatela, czyby zgodził się dobrowolnie na taki podły, bezczelny szatański zamach? Więc proszę się nie dziwić — tak kończył mówca — jeżeli wywłaszczyciele dostaną się do wywłaszczonych domów tylko gwałtem, przemocą i rozbojem, a wydostaną z nich wywłaszczonych tylko brutalną osobistą siłą.

Panowie! Skandaliczne sceny to będą. (Poruszenie i odgłosy w izbie.)

Panowie! W jednym względzie wywłaszczyciele jednak się wstrzymują: cmentarzy nie wywłaszczają! Umarłych nie chcą ruszać. Może byłoby ostrożniej, także umarłych wywłaszczyć, bo teraz umarli pozostaną, a ich głosy zawołają nas z powrotem do tej świętej ziemi, którą nam bandyci wywłaszczyciele zabiorą. (Brawo u Polaków).

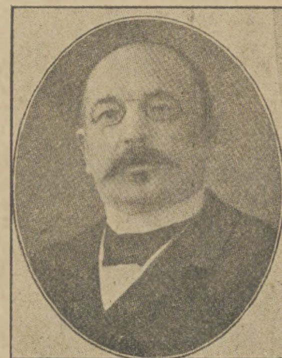
Mówca woła wielkim głosem wśród ogólnego poruszenia izby: Jak Bóg na niebie, i za wolą Bożą wrócimy jeszcze raz do tej ziemi, i będzie ona znów naszą,



Poseł Hansen.

bo na zrabowanej własności nie kwitnie dla rabusia błogosławieństwo! (Silne brawa u Polaków, w centrum i na całej lewicy. Posłowie otaczają mówcę i winszują mu.)

Poseł Hanssen, Duńczyk, redaktor,
oświadczył: Pruska polityka gwałtu wobec nieniemieckich narodowości musi uledz rewizyi, bo przeciwieństwa w prowincyach się zwiększają.



Poseł Thumann.

Poseł Thumann, Lotaryńczyk, aptekarz,
protestuje w imieniu swych ziomków przeciw aktom gwałtu, wyrządzanym Polakom i potępia hakatyzm.



Poseł Ledebour.

Poseł Ledebour, socyalny demokrata, literat,
powiedział: Faktycznie ustawa jest zwrócona tylko przeciw Polakom. Kto to inaczej przedstawia, ten dowodzi bezgranicznej obłudy. Polacy powinni z tego wyciągnąć naukę i zasadniczo oponować przeciw wrogim dla ludu ustawom. Jeżeli nie wyciągną tej konsekwencyi, to wyciągną ją polscy robotnicy.

Poseł Wojciech Trąmpczyński
krytykował prawo wywłaszczenia i oświadczył między innemi:

Na wszystkie wywody prawnicze odpowiedzieć, zbyt spóźniona jest pora. Ale dwie rzeczy są niewątpliwe.

Przy wywłaszczeniu Polaków nie może być mowy o interesie ogółu. Nie tylko dlatego, że Polacy do tego czasu do tego ogółu należą, ale, że interes ogółu może wprawdzie szkodzić mimowolnie jednostce, ale nie może mieć nigdy zamiaru szkodzenia części współobywateli. Tutaj zaś celem i powodem wywłaszczenia jest chęć szkodzenia Polakom i wypierania Polaków.

Dalej absolutnie nie zgadza się ustawa pruska o wywłaszczaniu z paragr. 1 ustawy Rzeszy o wolnem osiedlaniu. Paragraf ten mówi, że nie wolno jest państwom związkowym przeszkadzać komuśkolwiek w nabywaniu własności. Toć państwo pruskie przy wywłaszczaniu przeszkadza Polakom nie tylko w

nabywaniu ale nawet w posiadaniu własności ziemskiej.

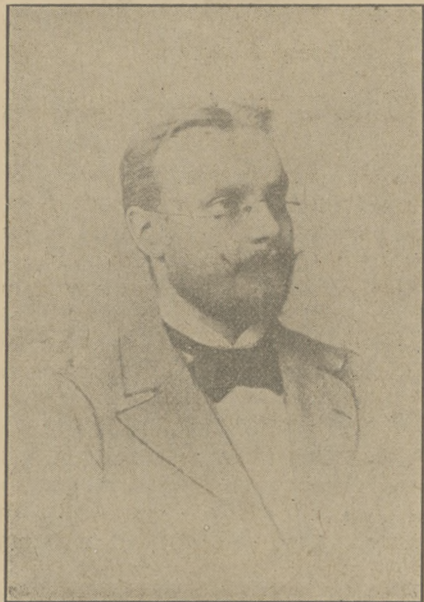
Hr. Buelow uzyskał w izbie panów większość tylko wskutek zapewnienia, że ustawa o wywłaszczeniu nigdy nie będzie wykonaną. Uczciwi ludzie nie chcieli być taksatorami. Potem przyszli



Poseł Wojciech Trąmpczyński.

ludzie, którzy robili wrażenie, jakoby w jednym korcu siedzieli z komisyą kolonizacyjną. Obywatele, żyjący na tej samej ziemi, nie mogą się długo bojkotować, ale rząd musi zrobić początek przez zmianę polityki.

Na tem zamknięto dyskusyę.



Poseł Paweł Dąbek.

Poseł Paweł Dąbek wniósł po dyskusyi o imienne głosowanie nad interpelacyą, którego wynik był wielkiem moralnem zwycięstwem dla naszej sprawiedliwej pod każdym względem sprawy.

Jeśli prawdę chcecie wiedzieć:
Lepiej siedzieć, niźli stać,
Lepiej leżeć, niźli siedzieć,
Lepiej umrzeć, niźli spać.

Kazimierz Brodziński (myśl wschodnia)

Jeszcze Polska nie zginęła.

Oto kamerton, na który nastrojone są artykuły pojawiające się obecnie w prasie angielskiej o sprawie polskiej.

Podczas gdy do niedawna jeszcze gazety angielskie milczały o Polakach, teraz od czasu wywłaszczenia zupełnie inny powiał tam wiatr.

Debaty ostatnie w parlamencie zainteresowanie to rozpłomieniły do niebywałych nigdy rozmiarów.

Kto się chce o tem przekonać, niech weźmie do ręki choćby najnowszy zeszyt „Przeglądu Wielkopolskiego“, przynoszący tłumaczenie świetnego artykułu angielskiego „Pall Mall Magazine,“ gdzie autor przepowiada bliskie zmartwychwstanie Polski.

Przed nami leży egzemplarz tygodnika angielskiego „John Bull“, zawierający artykuł o stosunkach Polaków w Prusiech, traktujący sprawę polską nie jako kwestyę wewnętrzną państwa pruskiego, lecz jako kwestyę europejską, obchodzącą cały świat cywilizowany. Napiętnowano tam dosadnie politykę antypolską, zaznaczając, że nawet Turcya w Macedonii i Tracyi nie obchodziła się nigdy tak z tameczną ludnością jak to czynią Prusacy z Polakami. Polacy są wielkim narodem — napisano tam pomiędzy innemi — dali oni światu więcej niż jednego geniusza, nie można tedy znieść, aby taki naród miał być zmiażdżony obcasem żelaznym teutońskiego buta.

Tygodnik „John Bull“ liczy okrągły milion czytelników!

Leży przed nami inny tygodnik, „Everyman,“ wychodzący w 750 tysięcach egzemplarzy nakładu. Znajdujemy w nim obszerny, bo trzy strony wielkiego formatu zapełniający znakomity artykuł, przedstawiający nasze położenie we wszystkich trzech zaborach. Do artykułu dołączona jest mapa Polski, przedstawiająca Polskę Kazimierzową, Polskę Stanisława Augusta i Polskę Napoleońską, czyli Księstwo Warszawskie. Artykuł napisany z wielką znajomością rzeczy, zdumiewającą wprost jak na autora obcokrajowca — pisał go sam redaktor tygodnika — zaznacza na koniec, że naród, który wydał myślicieli, tej miary co Kopernik, bohaterów jak Sobieski, muzyków jak Szopen, poetów jak Mickiewicz, fizyków jak Skłodowska, naród, który może się poszczycić posiadaniem najpiękniejszych i najinteligentniejszych kobiet w Europie Środkowej, taki naród nie może uchodzić za nieuleczalnie niższy od ciężkich Prusaków, nie może też być dłużej wydanym na łup brutalnych prześladowań.

Podobnych głosów prasy, przepowiadających bliskie wskrześnięcie Polski, i przedstawiających je jako konieczność dziejową, mnóstwo w gazetach angielskich się pojawia.

Otrzymujemy wiarogodne informacye z Londynu w tej mierze. Piszą nam: Dziś *cała* prasa angielska wspaniale wytacza przed forum świata kulturalnego „sprawę polską,“ wzywając Europę, aby wreszcie nie pozwolono deptać dłużej dwudziestomilionowego, a tak nieśmiertelnie około kultury i cywilizacyi europejskiej zasłużonego narodu.

Panowie w kraju — tak pisze nasz korespondent londyński na koniec — nie możecie mieć zgoła żadnego wyobrażenia, jak nagle w Anglii postawiono na porządku dziennym, nieśmiertelną „sprawę polską!“

Dla informacyi i dla podniesienia ducha podajemy te pocieszające szczegóły.

Nie obojętną to rzeczą, jeżeli prasa tak potężnego państwa i kulturalnego narodu głośno za nami się ujmuje. Z drugiej strony nie należy przeceniać doniosłości tych głosów, nie należy się niemi odurzać, tylko twardo stać przy warsztacie codziennej pracy i lepszą przyszłość niezmordowanem wykuwać ramieniem...



Przemysł polski a niemiecki w miastach W. Księstwa Poznańskiego.

II.

W zeszycie poprzednim przytoczyliśmy cyfrowe dane co do stosunku przemysłu polskiego do niemieckiego w miastach Księstwa Poznańskego. Streszczając raz jeszcze nasze wywody, stwierdzamy następujący rezultat. Uwzględniając wielkość przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych pod względem liczby osób zatrudnionych, otrzymamy następujący stosunek:

1. z rzemiosła i kupiectwa drobnego, obejmującego przedsiębiorstwa aż do 3 osób, należy nam się **niespełna połowa.**

2. z rzemiosła i kupiectwa większego, t. j. z przedsiębiorstw zatrudniających 4—20 osób, posiedliśmy dotychczas **niespełna jedną trzecią;** wreszcie

3. z przemysłu fabrycznego i z wielkiego handlu, t. zn. z przedsiębiorstw zatrudnających więcej niż 20 osób, zdobyliśmy dotychczas niewiele więcej jak **jedną piątą.**

Serdecznie mało więc tego przemysłu i handlu naszego. Biorąc ogólnie należy nam się mniejwięcej jedna trze-

cia przemysłu i handlu w miastach naszej dzielnicy, dwie trzecie Niemcom i żydom. Stosunek ludnościowy natomiast jest wprost odwrotny. Z ludności Księstwa Niemcy stanowią nie wiele więcej jak jedną trzecią, natomiast Polacy prawie dwie trzecie.

Dawniej coprawda było jeszcze o wiele gorzej. Przed przeszło 60 laty, w czasach, kiedy to żył Dr. Karól Marcinkowski, który pierwszy walczył o stworzenie polskiego handlu i przemysłu, należała w Poznaniu ledwie jedna szósta rzemieślników do narodowości polskiej. Oprócz znacznej liczby biednych szewców i nielicznych garncarzy i bednarzy, innych rzemieślników mieliśmy nadzwyczaj mało, a większych przedsiębiorstw przemysłowych lub handlowych wcale nie.

Dziś nam się prawie wcale wierzyć nie chce, iż r. 1845 w Poznaniu było krawców-Polaków tylko 24, natomiast Niemców 75, a **żydów** aż 172! kuśnierze **wszyscy** do jednego byli **żydami**, tak samo z 19 pasamentników. Na 25 szklarzy, było żydów 21, Niemców 4, a Polaka ani jednego. Z złotników i zegarmistrzów Niemców było **11**, żydów 5, Polaka żadnego nie było. Balwierzy i fryzyerów było Niemców i żydów 24, Polaków tylko 6. Na 24 kowali było Polaków tylko 2, na 16 czapników i kapeluszników 1, z 11 tapicerów ani jednego Polaka i tak dalej. W wielu innych rzemiosłach Polacy wcale nie byli reprezentowani.

Jeżeli się ówczesne stosunki porowna ze stanem dzisiejszym, to przyznać trzeba, że znaczna zaszła zmiana na korzyść, ale zmiana to nie wystarczająca i nie odpowiadająca wcale liczbie ludności polskiej.

Statystyka rządowa, której rezultaty przytoczyliśmy powyżej, stwierdziła narodowość właścicieli przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych, — narodowością zaś osób pracujących w tych przedsiębiorstawch nie zajmuje się wcale. Na mocy tych danych mogliśmy więc mniejwięcej stwierdzić, jaka część przemysłu i handlu nam, a jaka Niemcom i żydom się należy, — nie wiemy jednak, ile osób każdej narodowości z przemysłu i handlu żyje. Wiemy bowiem z codziennego doświadczenia, że u żydów i Niemców pracują Polacy, a na odwrót się zdarza, że i u Polaka przedsiębiorcy pracuje niemiecki pracobiorca.

Dokładnie tego stosunku stwierdzić nie możemy, nie ulega jednak żadnej wątpliwości, że szczególnie w przedsiębiorstwach handlowych i fabrycznych daleko więcej Polaków pracuje u Niemców i żydów, niż na odwrót tychże u Polaków. Dlatego jeżelibyśmy mogli dokładnie stwierdzić liczbę Polaków pracujących w handlu i przemyśle, i z drugiej strony liczbę zatrudnionych tamże Niemców i żydów, niewątpliwie stosunek ten byłby dla nas korzystniejszy niż stosunek przedsiębiorstw polskich do niemieckich. Przekonalibyśmy się, że z osób pracujących w przemyśle i handlu nie jedna trzecia, ale prawdopodobnie więcej niż połowa należy do narodowości polskiej.

Zawsze jednak pozostaje fakt niezmieniony, że zyski z dwóch trzecich przemysłu i handlu płyną do kieszeni przedsiębiorców niemieckich i żydowskich. A że ci przedsiębiorcy niemieccy szczególnie zaś żydowscy są znacznie obrotniejsi niż Polacy, i donośniejsze gałęzie handlu i przemysłu mają w rękach, dlatego zysk, który z przemysłu i handlu im płynie, jest nie tylko dwa razy tak wielki jak zysk przedsiębiorców polskich, lecz przypuszczalnie **kilka** razy większy. Zysk ten ciągną ci przedsiębiorcy w znacznej części z ludności polskiej; uwzględniając wyżej przytoczony stosunek, przypuścić można, iż połowa rocznych zysków, które dotychczas przedsiębiorcy żydowscy i niemieccy mają, pochodzi z ludności polskiej. Dalej dochodzimy do przekonania, że połowę swych potrzeb zaspakaja ludność polska Księstwa jeszcze u przemysłowców i handlarzy obcych. Zysk z tego przedsiębiorcom obcym płynący trudno obliczyć, wynosi on jednak conajmniej kilkanaście milionów marek rocznie. Kwota ta wcale za wysoko nie jest obliczona, raczej za nizko, bo pamiętać trzeba, że konsumenci polscy Księstwa to przeszło 1 i ćwierć miliona ludzi, czyli blizko ćwierć miliona rodzin. Z kompetentnej strony np. szacowano zysk, który żydowscy bławatnicy rocznie ciągną z publiczności polskiej, na 2—3 milionów marek.

Do tej rocznej straty kilkunastomilionowej nie wliczyliśmy wcale tego, co zarabiają na nas fabrykanci i handlarze poza Księstwem mieszkający, np. za węgle, wyroby chemiczne, metalowe, piwo i inne napoje, wyroby włókniste itp. Oczywiście, że znaczna część ich wogóle własnemi wyrobami nie moglibyśmy zastąpić, w pewnej części byłoby to jednak możliwe. Dotąd jednak rocznie o te miliony ubożejemy.

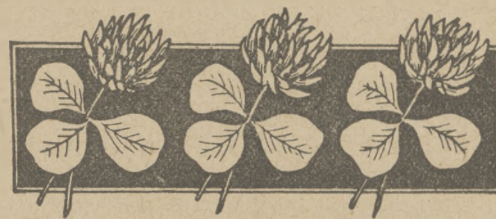
Jak zaznaczyliśmy na samym początku, odnosiły się cyfry statystyki urzędowej tylko do przedsiębiorstw miejskich, a przedsiębiorstwa miejskie stanowią tylko dwie trzecie ogólnej liczby przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych. Przedsiębiorstwa wiejskie są na ogół drobniejsze i mniejszego znaczenia. Na blizko 25 tysięcy bowiem przedsiębiorstw wiejskich tylko ca. 2.000 zatrudnia więcej niż 3 osoby. Główny kontyngent stanowią więc rzemieślnicy wiejscy, karczmarze, kramikarze itp.

Być może, że w tych drobnych przedsiębiorstwach mają Polacy znaczniejszy udział, natomiast w przedsiębiorstwach większych jest udział ten tem mniejszy. Statystyka rządowa nie daje nam pod tym względem żadnych wskazówek, dlatego trzymamy się w następującem danych, jakie dr. Głowacki w swym referacie na V. Zjeździe Prawników i Ekonomistów Polskich we Lwowie przytoczył.

Do najważniejszych przesiębiorstw wiejskich należą gorzelnie, mleczarnie, cukrownie, młyny, tartaki, cegielnie, mączkarnie itp. Stosunkowo najlepiej przedstawiają się dla nas jeszcze stosunki w mleczarniach. Z prywatnych mleczarń według obliczeń dr. Głowackiego ca. 40 proc. znajduje się w ręku polskiem. Mleczarnie udziałowe prawie wszystkie znajdują się w miasteczkach, dlatego już między przedsiębiorstwami miejskiemi uwzględnione zostały. Z gorzelń tylko 23 proc. jest w ręku polskiem. Z 20 cukrowni Księstwa tylko 2 mają kierownictwo polskie. Mączkarnie wszystkie są w ręku niemieckiem, z młynów i tartaków tylko drobna liczba jest w posiadaniu Polaków **itd.**

Stosunki więc w przemyśle, mającym siedzibę na wsi, są dla nas jeszcze niekorzystniejsze, i wniosków, które na podstawie statystyki państwowej wysnuliśmy, w niczem nie są zdolne zmienić.

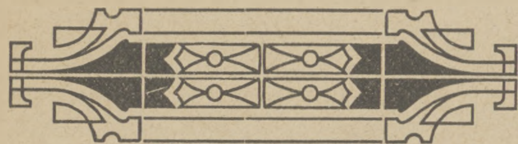
Dr. Spandowski.



Dostojny prenumerator „Pracy.“

Niezwykły zaszczyt spotkał pismo nasze.

Jego Cesarska Wysokość Arcyksiążę Karol Stefan na Żywcu, któremu ośmieliliśmy się przesłać luksusowo wydany egzemplarz naszego czasopisma, zawierający ilustracye z uroczystości żywieckich, raczył najłaskawiej przyjąć skromny ten upominek i dziękując zań telegraficznie, polecił nam zapisać się na listę stałych prenumeratorów „Pracy.“



O polską scenę narodową.

Przed kilku tygodniami dyrektor teatru krakowskiego im. Juliusza Słowackiego wniósł rezygnacyę z zajmowanego stanowiska, prosząc o zwolnienie go od kontraktu dzierżawy. P. Solski motywował swą prośbę złym stanem zdrowia. Jednak znając p. Solskiego można było przypuszczać, że poza tym motywem kryją się i inne. Trzeba pamiętać, że scena krakowska to scena narodowa... tu najpierw wystawiają swe utwory najwybitniejsze nasze siły, tu święcił tryumfy Fredro, ze sceny krakowskiej błyszczały jako perły utwory Słowackiego, ztąd przemawiał potężną grą słów i myśli Wyspiański. Scena krakowska ze względu na grupujący się tu żywy ruch literacki i artystyczny zawsze przodowała innym, zawsze górowała nad innemi i stąd też nic dziwnego, zasłużyła sobie na nazwę sceny narodowej. Stąd bowiem mogło zawsze płynąć swobodnie każde słowo polskie, nie wiązane ani krępowane zakazami, tu mogły w całej okazałości ukazywać się utwory, które dziś jeszcze nie na każdej desce teatralnej ukazać się mogą. W dużej mierze oddziaływało na to ośrodkowe położenie Krakowa, o który zawadzała jak rok długi cała niemal Polska, a nawet niejednokrotnie na największe dni tryumfy sceny krakowskiej zjeżdżano tutaj specyalnie. To też nic dziwnego, że dziś i świat kulturalny polski czegoś więcej żąda od sceny krakowskiej niż od każdej innej, a żąda nietylko dobrej i należytej gry, ale i sztuk, któreby utrzymywały nadal tradycyę, jaką przejął na siebie teatr krakowski... być świątynią sztuki narodowej. Czyż obecnie ustępujący dyrektor Solski sprzeniewierzył się może tym zasadom? Jego dotychczasowe kierownictwo zaprzecza temu w zupełności, i właśnie jeśli kto, to właśnie on dzięki swej nieugiętej energii zdołał doprowadzić teatr do zenitu, bo właśnie za jego kierownictwa największe perły naszej literatury dramatycznej ukazały się w najpiękniejszej szacie ze sceny teatru krakowskiego. Poprowadzenie dzieła jego w obecnych warunkach przejąć musi jego następca, ktokolwiek nim będzie, jeśli chce, aby teatr krakowski na wyżynie tej zatrzymać, na którą właśnie zdołał go wznieść Solski.

Powody rezygnacyi tkwiły w czem innem. Pierwszym może głównym powodem, to było ogólne obecne przesilenie finansowe, wskutek którego frekwencya publiczności stale niedopisywała. Co prawda ogół Krakowian nie chce się do tego przyznać, motywując swoją absencyę słabym zespołem obecnych sił artystycznych, ale właśnie dlatego pozwolimy sobie o tem wątpić. Inne fakty z życia Wielkiego Krakowa wskazują, że tak nie jest i że coraz to trudniejsze warunki ekonomiczne na to w dużej mierze wpływają. Wszak i sam karnawał aczkolwiek krótki też mógłby o tem coś powiedzieć.

Innym jeszcze powodem, a bodaj czy nie najważniejszym jest raczej ten, jaki odsłonił p. Siedlecki Adam, znany krytyk literacki i b. dramaturg teatru krakowskiego w rozmowie z jednym z dziennikarzy. Zarzuty p. Siedleckiego są tak silne i tak wielkie, że zasługują na wiarę i powagę tylko dlatego, że pochodzą z ust człowieka tej miary, co p. Siedlecki, spodziewać się też wobec tego należy, że będą one miały tem większy walor w kołach miarodajnych. Okazuje się z tego interwiewu, że p. Solski ustępuje dlatego, że pomiędzy nim, a miejską komisyą teatralną były dysonanse, lub raczej jeśli otwarcie trzeba powiedzieć, były szykany niczem nie uzasadnione ze strony komisyi. I tak niech starczy kilka przykładów: Komisya zakazała grać p. Solskiemu tak popularnej sztuki L. Rydla, jaką jest „Betleem Polskie", które ściągało w niedzielę tłumy ludności wiejskiej do teatru. Zakazano grać „Dziadów" Mickiewicza, bo młodzież już ma dość Mickiewicza. I tak dalej... i dalej...

Wreszcie kontrakt o dzierżawę teatru był tak ułożony, by dla p. Solskiego był nie do przyjęcia. Solski kontrakt przyjął, a temsamem przyjął na siebie ciężar 50 tysięcy koron na rzecz miasta.

Ze słów p. Siedleckiego otwarcie bije myśl, że miasto zrobiło dobry interes na p. Solskim, taki sam, jaki się robi na elektrowni, rzeźni miejskiej i t. p. Wolno miastu i jego zarządowi robić interesa na tych i innych swych przedsiębiorstwach, gdyż to jest rzeczą gospodarki miejskiej i kwestyą istnienia, czy rozwoju przedsiębiorstwa, o ile potulni mieszkańcy przy najbliższych wyborach wymownie przeciw temu nie zaoponują i ojców miasta zbytnio wzorujących się na fiskusie austryackim nie usuną z rady miejskiej, ale nie wolno bynajmniej sceny narodowej, która jest niejako duchowym posiłkiem nietylko mieszkańców Krakowa, ale całej Polski, robić „przedsiębiorstwem miejskiem równorzędnem z elektrownią, rzeźnią, czy też innem podobnem przedsiębiorstwem.

Sprawa teatru im. Juliusza Słowackiego nie jest czysto wewnętrzną sprawą miejską, lecz sprawą ogólnie polską, gdyż jest to jedyna scena narodowa polska, z której wieje duch Fredry, Słowackiego, Mickiewicza, Krasińskiego, Wyspiańskiego... i dlatego cały świat kulturalny polski tą sprawą zająć się powinien. A gdy może ojcowie rady miasta niedość dorośli do swych zadań i obowiązków, to dobra rada i przyjacielski głos może z innych dzielnic Polski być pomocny i przydatny.





Pałac w Woli justowskiej.

W odległości czterech kilometrów od rynku krakowskiego, a kilometra od obecnych rogatek miasta wśród zacisznego parku, u stóp skalistych wzgórz, znanych pod nazwą Skał panieńskich, wznosi się piękny w stylu włoskim pałac, z którego roztacza się prześliczny widok na obszerne Błonia krakowskie, u których krańca na horyzoncie zarysowują się wieże i szczyty Krakowa. Wola należała do Kmitów, do XVI. wieku, kiedy to nabył ją sekretarz króla Zygmunta I. Just Decyusz i zbudował tu wspaniały pałacyk w stylu włoskim. Wola Justowska przez jakiś czas była siedliskiem Kalwinów. Do niedawna pałacyk był własnością ks. Czartoryskich, którzy go odnowili. Po śmierci właściciela Woli ks. M. Czartoryskiego wdowa po nim postanowiła sprzedać Wolę. Zaprojektowała ona miastu kupno przepięknego lasu, na park miejski się nadającego, lecz miasto kierowało się wyższemi względami, nie chciało zakupić tych dóbr, przeto kupiła je Spółka polska obywateli polskich z wschodniej Galicyi. Piękny pałacyk ofiarowała ks. Czartoryska biskupstwu krakowskiemu na letnią rezydencyę.

Z naszych spraw.

W sprawie Rady Narodowej

odbyło się wspólne posiedzenie Kół poselskich z udziałem prezesa Centralnego Komitetu Wyborczego ks. Wolszlegiera. Po przeprowadzeniu dyskusyi wybrano komisyę do bliższego rozpatrzenia projektu.

* * *

Nowe towarzystwo polityczne.

W Grudziądzu powstało nowe towarzystwo pod nazwą „Towarzystwo pracy narodowej na Prusy Królewskie“. Celem tego Towarzystwa jest uświadomienie społeczeństwa polskiego w Prusach Zachodnich w sprawach narodowych na podstawie religijnej; obrona zbiorowemi siłami praw narodowych ludności polskiej; przygotowanie i przeprowadzenie jednolitej i systematycznej akcyi narodowej we wszystkich sprawach narodowych; wyrobienie coraz większej spójni między członkami i pogłębienie znajomości spraw narodowych i publicznych.

Środkami do celu są: referaty i dyskusye na walnych zebraniach i powzięte w myśl tychże uchwały, czynność poszczególnych członków w kierunku przez walne zebranie wskazanym; informowanie i popieranie prasy.

Zarząd stoi na czele Towarzystwa i to wybrany tajnem głosowaniem na rok, a składający się z prezesa, wiceprezesa oraz sekretarza i skarbnika w jednej osobie.

Członkiem Towarzystwa może być każdy obywatel Polak Prus Zachodnich, który jest charakteru nieposzlakowanego i bierze czynny udział w życiu publicznem.

W skład Zarządu wchodzą: ks. dr. Wolszlegier prezes, adwokat Sobiecki wiceprezes i p. K. Donimirski jako sekretarz i skarbnik.

* * *

Petycya Zjednoczenia Zaw. Polskiego w sejmie pruskim.

Świeżo komisya dla handlu i przemysłu zajmowała się petycyą Zjednoczenia Zawodowego Polskiego, popartą dziesiątkami podpisów, która żąda zaprowadzenia 8 godzinnego dnia roboczego w kopalniach i zebrania się rady zdrowotnej dla badania stosunków zdrowotnych, oraz komisyi śledczej złożonej z posłów sejmowych, pracodawców, pracobiorców oraz komisarzy rządu. Ta komisya miałaby zbadać nieporządki po kopalniach Górnośląskich.

W komisyi tej Koło Polskie nie ma przedstawiciela, a zabiegi posłów naszych o uzyskanie mandatu na dzień rozpraw spełzły na niczem.

Referował poseł centrowy Imbusch, dając pogląd historyczny co do normowania czasu pracy w kopalniach. Już od setek lat przetrząsano 8 godzinny czas pracy w kopalniach, 8 godzinny dzień pracy obowiązuje już w innych krajach. Nasi robotnicy żądają od długiego czasu 8 godzinnej szychty. Właściciele i kierownicy kopalń zwalczają to żądanie. Rozporządzenie ministeryalne z lat 60 daje prawo regulowania szychty właścicielom kopalń.

Rząd pruski przy jednej z ostatnich nowel górniczych stanął na stanowisku, że ustawą trzeba wprowadzić 8 godzinną szychtę. Sejm to odrzucił. Jest to więc luka w ustawie. Dlatego żąda, aby komisya uchwaliła całą petycyę rządowi przekazać do uwzględnienia.

Komisarz rządowy zaprzeczył, jakoby petycya odpowiadała ogólnemu życzeniu górników, a komisya uchwaliła przejść do porządku dziennego nad żądaniem ośmiogodzinnej szychty.

* * *

Ciekawe uzasadnienie zakazu przedstawienia.

W Szymborzu pod Inowrocławiem odbyć się miało w przeddzień urodzin cesarza niemieckiego przedstawienie amatorskie, połączone z przedstawieniem kolend dla parafii liszkowskiej.

Komisarz jednak nie udzielił pozwolenia z tem ciekawem uzasadnieniem, że następnego dnia są urodziny cesarza niemieckiego, a przedstawienie polskie mogłoby być ze strony niemieckiej uważane za demonstracyę antyniemiecką!

W państwie bojaźni Bożej i dobrych obyczajów wydają więc urzędnicy podrzędni takie zakazy, o jakich się nie śniło nawet hakatystom.

* * *

Hakatyzm w lecznicach.

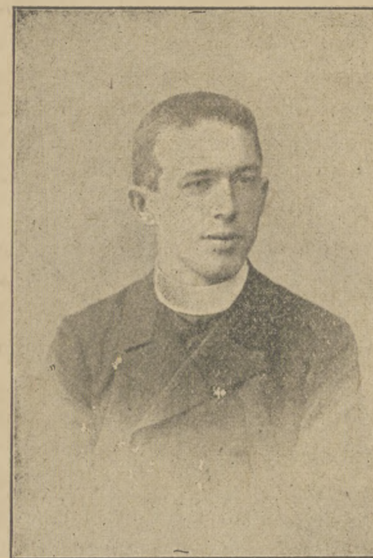
Istnieje w Księstwie Poznańskiem Towarzystwo lecznicze dla dzieci, utrzymujące w Inowrocławiu lecznicę dla dzieci skrofulicznych. Towarzystwo to obok 100 płatnych miejsc udziela jeszcze 130 dzieciom bezpłatne kąpiele i utrzymanie cztery razy w roku po 6 tygodni. Byłby to więc zakład dobroczynny, gdyby i tu nie był się zakradł hakatyzm. Otóż w lecznicy tej nie wolno dzieciom polskim ze sobą mówić po polsku, nie wolno im pisać po polsku listów do rodziców; rewidują nawet listy dzieci w tym celu.

Polscy członkowie Towarzystwa powinni się na walnem zebraniu domagać zniesienia tego zarządzenia.

* * *

Hojny dar.

Ś. p. ks. prof. dr. Tadeusz Trzciński, zmarły w czerwcu roku ubiegłego w Wałkowie, zapisał 10 tysięcy marek na cele publiczne; obecnie rodzina rozdzieliła powyższą sumę, tworząc fundusze imienia Zmarłego, na następujące cele:
na Czytelnie ludowe 2.000,— mk.
oraz przezrocza do historyi sztuki kościelnej, zebrane przez Zmarłego;
na Pomoc Naukową im. Karola Marcinkowskiego 1.000,— mk.
na Towarzystwo Przyjaciół nauk w Poznaniu 2.000,— mk.
na kolon. wakacyjne Stella 1.000,— mk.
na Wszechn. Jagiellońską 3.500,— mk.
na nagrody za prace, rozpisywane co 5 lat, z dziedziny historyi Kościoła w Polsce i na ochronkę w Gnieźnie 500,— mk.
razem 10.000,— mk.



Śp. Ks. profesor Dr. Tadeusz Trzciński



Na widowni.

Ubiegły tydzień przyniósł nam znowu wojnę.

W poniedziałek, o godzinie 8-mej wieczorem, a więc w godzinę po ukończeniu zawieszenia broni odezwały się działa bułgarskie nad brzegami Maricy pod Adryanopolem. Rozpoczął się ostatni akt walki o oswobodzenie chrześcijan z pod panowania półksiężyca, akt, któremu wszyscy przepowiadają, że będzie krótki, ponieważ zdemoralizowana armia turecka nie będzie zdolna opierać się długo europejskim zastępom wojsk chrześcijańskich.

Słowiańskie to działa grzmią nad Maricą pod Adryanopolem i dokonują wymiaru sprawiedliwości na ciemięzcach, gnębicielach i prześladowcach ludu słowiańskiego.

Po kilkowiekowej niewoli ma wiosna r. 1913 przynieść naszym pobratymcom wiosnę wolności!

O ostatecznem zwycięstwie Słowian nie wątpią nawet gazety niemieckie, chociaż prawdą jest, że Turcy, korzystając z czasu, który mieli podczas zawieszenia broni, dopełnili swe zbrojenia i dziś rozporządzają silną armią, zdolną do stawiania oporu.

Według ostatnich wiadomości mieli Bułgarzy rozpocząć równocześnie akcyę przeciw utwierdzeniom dardanelskim aby po zdobyciu ich od strony lądowej umożliwić flocie greckiej przejazd

przez Dardenele, poczem okręty greckie mogłyby pojawić się przed samym Carogrodem. Równocześnie też rozpoczęły się walki pod Skadrem i Janiną, ostatniemi twierdzami, które znajdują się w Europie w posiadaniu tureckiem.

Były podobno pewne wątpliwości, czy Rosya zgodzi się na zajęcie przez Bułgarów stolicy tureckiej, wszakże wątpliwości te zostały usunięte i Rosya miała Bułgaryi oświadczyć, że jej tego tryumfu zazdrościć nie będzie.

Inna rzecz jak się zachowa reszta mocarstw. Zwolennicy pokoju z troską szczególną spoglądają na Niemcy otaczające się ciągle tajemniczem milczeniem. Z trudem bowiem niemałym nastąpiła zgoda mocarstw co do odstąpienia Adryanopola, czy taka sama zgoda zapanuje, gdy państwa bałkańskie z nowym projektem podziału Turcyi wystąpią, niewiadoma. Tymczasem rząd bułgarski stanowczo już naprzód oświadczył, że po wznowieniu i ukończeniu wojny z nowemi wystąpi pretensyami, że za świeżo poniesione ofiary nowych zażąda kompensat.

Czy Niemcy i Austrya zgodzą się na zupełne wyrzucenie Turków z Europy? Oto pytanie, które dziś zapewne roztrząsają dyplomaci francuscy, rosyjscy i angielscy. Jak bowiem wiadoma, chciały państwa trójprzymierza z resztek Turcyi europejskiej i z wielkiej Albanii utworzyć na półwyspie bałkańskim przeciwwagę chrześcijańskim państwom bałkańskim i tym sposobem przeszkodzić, aby związek państw bałkańskich za lat pięć lub wcześniej nie połączył się z trójporozumieniem i nie uderzył na Austryę i Niemcy. Dziś, po wznowieniu wojny widoków takich już Niemcy nie mają. Po wyrzuceniu Turków do Azyi pozostaje Niemcom i Austryi tylko Albania. A chociażby na utworzenie Albanii zgodziły się chwilowo państwa bałkańskie to któż może zagwarantować Niemcom, że po kilku latach Grecya, Bułgarya i Serbia Albanię pomiędzy siebie rozbiorą.

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że dziś po rozpoczęciu wojny wyczerpały się środki dyplomatów, że nie umieją oni zażegnać niebezpieczeństwa, kiedy nagle pojawiła się wiadomość, iż cesarz austryacki zwrócił się listownie wprost do cara, aby osiągnąć porozumienie. List cesarza austryackiego osłoniony wprawdzie tajemnicą, ale sądząc z przykładów dawniejszych w historyi, list w takich stosunkach jak dzisiejsze, oznacza zawsze, jakiś środek ostateczny. To też poważne dzienniki wiedeńskie utrzymują, że cesarz napisał list dlatego, że niebezpieczeństwo jest tak wielkie i czas za krótki, aby wdawać się w dłuższe dyplomatyczne układy.

Za tem, iż niebezpieczeństwo wojny groziło bezpośrednio, przemawiał szczegół, że do Wiednia doszły wiadomości autentyczne, iż Rosya zbrojenia nagle przyspiesza. Faktem jest, że w Austryi niepewność położenia sprawiła, iż stan finansowy monarchii habsburskiej został poważnie zachwiany. Nadszedł więc moment ostateczny, w którym Austrya mieć musiała pewność, czy będzie wojna, czy pokój.

Tajemnica listu długo się zapewne nie utrzyma. Wyjawi ją to, co wkrótce pomiędzy Austryą i Rosyą nastąpi.

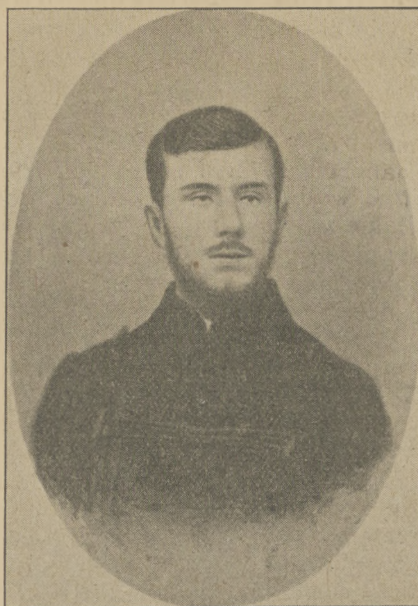


Podobizny uczestników powstania styczniowego.

(Ciąg dalszy.)

Mieczysław Jackowski,

syn bardzo zasłużonego Patrona Kółek Włościańskich ś. p. Maksymiliana Jackowskiego i brat czcigodnego obywatela, szambelana dra Tadeusza Jackowskiego z Wronczyna, prezesa Centralnego Towarzystwa gospodarczego na W. Ks.



Mieczysław Jackowski.

Poznańskie, urodził się w r. 1884 i kończył właśnie realną szkołę w Poznaniu, gdy w Królestwie wybuchło powstanie. Bezzwłocznie porzucił nauki i przybywszy w dom rodzicielski, oświadczył, że pragnie pospieszyć na pole walki i prosi rodziców o błogosławieństwo na drogę. Na ich życzenie wstrzymał przecież swój wyjazd do obozu z powodu zbyt ostrej pory roku, przez dwa miesiące ćwicząc się bezustannie w używaniu broni palnej i siecznej i hartując ciało do wojennych trudów. Dnia 2 marca aresztowano jego ojca wraz z Witołdem Turną w Karsewie i osadzono w ostrem nadzwyczaj więzieniu w Gnieźnie. Ztąd to, nie mogąc osobiście zająć się wyprawieniem syna, przesłał mu listownie ojcowskie swe błogosławieństwo, a matka Marya z Lichnekerów odwiozła go do granicy. Zaiste, tylko Polka zdobyć się mogła na takie poświęcenie patryotyczne, na tyle osobistego zaparcia się, i tylko najgorętsza miłość Ojczyzny mogła wzrok matki zaćmić i bicie serca znieczulić, że nie widziała niebezpieczeństwa nierównej walki i że nie przeczuwała, iż syna, którego nad wszystko kochała, po raz ostatni do swej przyciskała piersi..... „Patrz, synu — mówiła — z tamtej strony stoi wróg zacięty, jeśli cię trwoży, powracaj ze mną; ale jeśli serce masz mężne, idź, a niech cię Bóg strzeże śród bojów. Wróć zwycięzcą, albo z niedobitków ostatnim!...“ Mieczysław padł na kolana, wzniósł modlitwę do Boga, ucałował błogosławiące ręce matki, zakrył dłonią oczy — i poszedł w las. Miał przydatnego sobie za towarzysza rządcę gospodarczego Brzozowskiego, który starszy wiekiem i obeznany z służbą wojskową, jako dawny podoficer pruski, miał polecenie nad nim czuwać i wspierać go swem doświadczeniem.

Wstąpili obaj do oddziału Seyfrieda, który liczył około 400 ludzi. Dnia 26 kwietnia zrobił oddział marsz forsowny i zbliżył się pod Nowąwsią do oddziału Younga de Blanckenheim, zaatakowanego właśnie przez przeważne siły moskiewskie. Wszczęła się bitwa, w której Seyfried nie brał udziału z powodu, jak mówił, znużenia żołnierzy. Dopiero gdy w szeregach podniosło się głośne szemranie, zakomenderował: na ochotnika! Wystąpiło z szeregów 60 i kilka ochotników, między nimi Jackowski. Ruszyli spiesznym krokiem w pomoc chwiejącemu się prawemu skrzydłu Younga. Nieprzyjaciel, widząc nadbiegające świeże siły powstańcze, cofnął się do pobliskiego lasu, skąd z po za drzew raził naszych celnemi strzałami. Powstańcy przecież uderzyli nań z taką natarczywością na bagnety, iż Moskwa zmuszoną była schronić się na terytoryum pruskie.

Oddziały Younga i Seyfrieda maszerowały obok siebie ku Kołu. Pod Brdowem zaatakowane przez Moskali, poniosły ciężką klęskę. O bitwie tej pisze Jackowski do rodziców przez jednego z powstańców, powracającego do domu: „Było nas pod Brdowem około 2000, bo trzy obozy razem, t. j. Younga, Seyfrieda i Oborskiego, czy ostatni wszakże zdążył przyjść na czas, tego nie wiem, a Moskali miało być tylko 600. Bitwa nie długo trwała i wszystko poszło w rozsypkę. Wiedzieliśmy, że będziemy atakowani i plan był tak ułożony, że jeden oddział miał iść drugiemu w pomoc, a mimo to niepojętym sposobem wszystko się rozsypało. Young de Blankenheim poległ, a Seyfrieda nikt w czasie bitwy

nie widział. Moskale pędzili nas i strzelali za nami blisko 2 mile; kule świstały i brzęczały koło nas, jak rój pszczół.

Jakim sposobem uszedłem, sam nie wiem, widać, że taka była wola Boża, bo pewnie w większym ogniu nie będę. Uszedłszy szczęśliwie z niebezpieczeństwa, dostaliśmy się nad wieczorem z Henrykiem Jaraszewskim (z Głuchowa pod Poznaniem) do państwa W. gdzie doznaliśmy gościnnego przyjęcia. Podobno obóz ma się zbierać na nowo, lecz my do niego nie wrócimy, bo szkoda każdego człowieka pod dowództwem takiego Seyfrieda. Dziwią się wszyscy, że rząd narodowy takiej podejrzanej figurze oddział powierza. Będziemy się starali dostać się do obozu Taczanowskiego, lecz nie wiemy, kiedy to nastąpi, bo pełno Moskali w okolicy.“

Drugiego dnia odesłano w nocy młodzieńców do stryja Henryka Jaraczewskiego, mieszkającego na pograniczu Księstwa. Opowiadał później Jaraczewski, że gdy chodząc po polu z stryjem, doszli do granicy, tenże zaklinał ich, aby powrócili do domu. Jackowski przecież odparł, że jeśli wróci, to chyba ostatni! W nocy z 7 na 8 maja o godzinie 3 nadeszła wiadomość, że obóz Taczanowskiego stanął pod Ignacewem. Młodzieńcy zaczęli się zbierać i prosili, aby bezzwłocznie mogli otrzymać podwodę. Kiedy gospodyni domu zaopatrywała ich na drogę w żywność, Mieczysław, smutnem wiedziony przeczuciem, podziękował, mówiąc, że jemu już nie jest potrzebna. Nad ranem przybyli do pułkownika Witołda Turny, którego Jackowski znał osobiście z domu swych rodziców. „Witajcie wiarusy — rzekł do nich — takich nam tu potrzeba, w samą porę przyszliście, bo ćma Moskali idzie na nas i do tego z armatami, będziemy mieli co bić.“ Przydzielił ich do 1. kompanii strzelców, stojącej na lewem skrzydle. Wkrótce wyszedł kapelan obozowy ze mszą św., której Mieczysław klęcząc wysłuchał, błagając Boga o pomyślność dla polskiego oręża.

Wnet dały znać placówki, że Moskale się zbliżają, stanęli zatem nasi w szyku bojowym: strzelcy i piechota po za wielką barykadą. Mieczysław stał na lewem skrzydle barykady. Zdala ukazała się, jak czarna chmura, kolumna moskiewska, której błyskawiczne migotanie zdradzało bagnety, już to coraz widniejsza na wzgórzach, już to ginąca na chwilę w nizinach. Z chmury tej głucho zagrzmiał ogień rotowy, a choć nieprzyjaciela nie było można jeszcze rozpoznać, kule jego dolatywały do nas, wyrywając raz po raz z szeregów naszych swe ofiary. Tu i owdzie padali nasi z jękiem: „Jezus, Marya!“ Chmura zbliżała się coraz bardziej, już można było widzieć piechotę w zwartych szeregach, jazdę, a w przedziałach działa, które zasypywały naszych kartaczami. Wszczął się ogień morderczy tak z jednej jak z drugiej strony.

Krzyżujące się kule zmierzch prawie sprawiły, zdawało się, że bez narażenia życia nie podobna głowy za barykadę wychylić, bo kilka kul w nią ugodzi. Mieczysław stał jak posąg, z uśmiechem na ustach, dodając odwagi towarzyszom: „Tylko się nie bójcie — wołał — bo odważnych kule się nie imają“. A kiedy tyralierzy moskiewscy doszli na parę set kroków do barykady, siedmiu z sztuceru swego położył, jak opowiadał jeden z świadków naocznych. Jednocześnie gdy prawe skrzydło nasze nagle chwiać się poczęło, wskutek czego Witołd Turno wybiegł na czele strzelców do ataku na bagnety i padł przeszyty kulą, poczęła z drugiej strony kawalerya moskiewska osaczać lewe nasze skrzydło. Jeden z jeźdźców, prawdopodobnie oficer, bo dla odległości trudno było rozpoznać, wysunął się naprzód. Mieczysław złożył się, strzelił i jeździec runął z konia. „Patrzcie jak się Moskal trzepie“, zawołał, a ośmielony powodzeniem, wyskoczył po za barykadę, co widząc major Strzelecki, krzyknął: „Jackowski, za barykadę!“ Ale już było za późno... Tej samej chwili padł bez wydania jęku. Gdy nadbiegli towarzysze, ostatnie oddał tchnienie, kula przeszyła skronie i przecięła od razu nić życia. Śmierć tyle była litościwą, że pozostawiła, jak wspomniałem na wstępie, na tych niewinnych młodzieńczych ustach uśmiech zadowolenia w spełnionej powinności... Pochowany został w środkowej mogile obok dzielnego majora Strzeleckiego, który wkrótce po nim poległ przy odwrocie, i towarzyszów swych Nikodema Zaborowskiego i Piotra Sokolnickiego .

Drugiego dnia po bitwie przybył na pobojowisku Leonard Radoński i poznał między poległymi ciało Mieczysława, odarte z odzieży. Pozostał tylko rękaw od jedwabnej koszuli i szkarpetki, które wraz z uciętym zwojem włosów przesłał rodzicom, bolejącym nad stratą najlepszego syna. Dla zachowania i przekazania potomności jego pamięci; wznieśli mu rodzice pomnik w kościele Pobiedziskim.

Postać niewieścia, wyobrażająca mater patriae, z rozpuszczonym włosem, w szacie niewolnicy, z krzyżem w ręku, stoi ponad tablicą marmurową, na której złotemi głoskami wyryty napis:

Ś. p. Mieczysław Jackowski, urodził się w Żorze na Podolu dnia 1-go lipca 1844 r. zginął w bitwie pod Ignacewem dnia 8-go maja 1863 r. Pokój jego duszy.

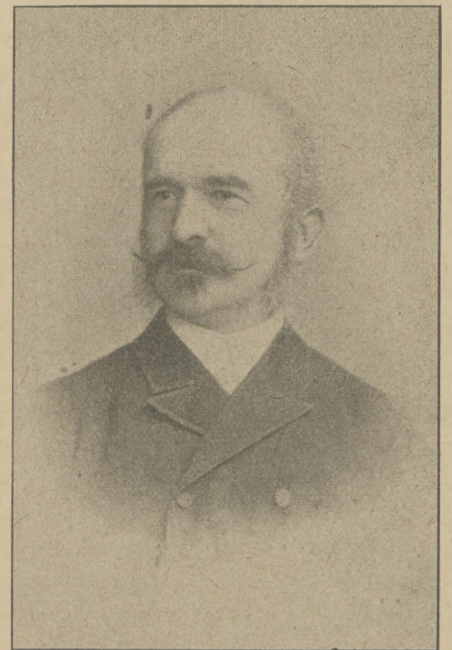
Ś. p. Mieczysław był młodzieńcem zdolnym, ujmującym, łagodnego usposobienia i charakteru prawego. Był też nietylko kochanym przez towarzyszów, z których dzisiaj kilku wybitne w społeczeństwie naszem zajmują stanowiska, ale co więcej szanowany przez swych zwierzchników. Kiedy nadeszła wiadomość o jego zgonie, dyrektor zakładu Brennecke uczcił jego pamięć wobec uczniów temi słowy: „Smutną wieść wam przynoszę: wasz kolega Jackowski poległ w bitwie; żałuję go serdecznie, bo był wzorowym uczniem i acz nieraz swemi patryotycznemi manifestacyami mnie wprawiał w kłopot, muszę jednak przyznać, że był zacnym, pełnym nadziei młodzieńcem. Zachowajcie pamięć jego w swem koleżeńskiem sercu“.

Uznanie takie, wychodzące z ust męża obcej narodowości, najwymowniejszem jest dla ś. p. Mieczysława Jackowskiego, świadectwem.

(Z książki Teodora Żychlińskiego: „Wspomnienia z roku 1863“).

* * *

Bolesław Szeliga Lutomski, dziedzic Stawu pod Strzałkowem, ur. 1839 r. we wsi Jablonce w Królestwie Polskiem z ojca Józefa i Rozalii z Wieniawów Broniszów, uczęszczał do szkoły realnej, potem do gimnazyum Ś. Maryi Magdaleny w Poznaniu. Po złożeniu egzaminu abituryenckiego i odsłużeniu wojskowości przy artyleryi konnej w Berlinie, objął majątek dziedziczny Staw, lecz wkrótce dla dalszego kształcenia się wyjechał zagranicę. Tam zastał go r. 1863. Brał czynny udział w powstaniu jako adjutant generała Wysockiego w bitwach pod Radziwiłłowem Werką i t. d. Po rozbiciu oddziału, uwięziony w Krakowie przez 5 miesięcy, następnie przez rząd austryacki wywieziony do Wiednia, udał się stamtąd do Paryża, a potem do Monachium, gdzie dłuższy czas przebywając, oddawał się



Fot. Atelier Rivoli & Co. w Poznaniu.
Bolesław Szeliga Lutomski.

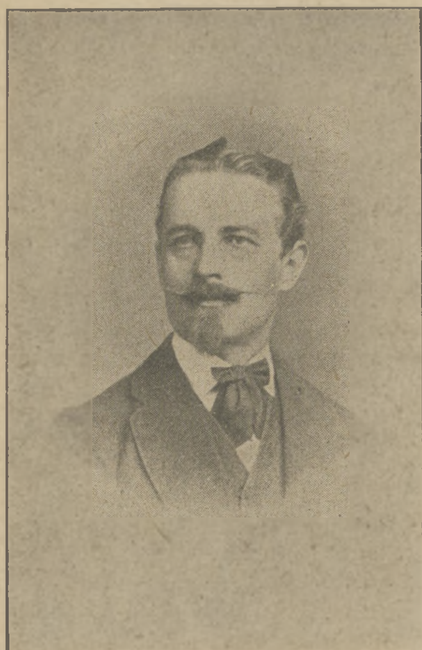
studyum uniwersyteckim, a nawet, przypuszczając konfiskatę majątku przez rząd pruski, przysposabiał się do zawodu praktycznego. Powróciwszy do kraju, oskarżony w procesie berlińskim o zdradę stanu, jako oficer pruski skazany został na śmierć. Zwycięstwa pruskie przyniosły mu amnestyę, z zamianą kary śmierci na 5-cio kwartalne więzienie forteczne w Grudziądzu. Był to jeden z najgorliwszych i najzacniejszych obywateli Księstwa, którego śmierć przedwczesna ogólny żal wywołała. Umarł 26. 3. 1887 r.

(Z książki Teodora Żychlińskiego „Wspomnienia z roku 1863".)

* * *

Ludwik Kasiewicz,

ur. w Kościanie 1840 r., umarł w Poznaniu dnia 11 września 1884 r. Lata spędził w mieście rodzinnem, poczem udał się o własnych siłach do Poznania ,gdzie uczęszczał do gimnazyum Ś. Maryi Ma-



Fot. A. i F. Zeuschner w Poznaniu.
Ludwik Kasiewicz.

gdaleny. Uposażony niepomiernie zdolnościami i bystrym umysłem, celował zawsze w naukach, a dobrocią serca i zacnością charakteru zjednał sobie w czasie pobytu na ławie szkólnej ogólną miłość rówieśników, która potęgując się z biegiem lat, do grobu mu towarzyszyła. Gdy był już u celu pragnień młodzieńczych, zaskoczył go rok 1863. Bez namysłu podążył Ludwik tam, gdzie go obowiązek wobec kraju powołał. Odbył całą wyprawę Taczanowskiego, począwszy do Pyzdr, aż do nieszczęśliwej walki pod Ignacewem. Trudy i niewywczasy obozowe podkopały słaby organizm młodzieńca, na którym kilkotygodniowe więzienie w Wrześni i dziewięciomiesięczne w twierdzy głogowskiej, a następnie trzyletnia, zamiast jednorocznej, przymusowa służba w wojsku pruskiem niezatarte wycisnęła znamię. Po powrocie z wojska wstąpił do świeżo tworzącego się w Poznaniu banku włościańskiego. tutaj też pozostał do zgonu. A pracował w tym nowym zawodzie tak sumiennie, że nieraz nie dosypiał, ślęcząc nad książkami, które mu powierzono. Po latach dwunastu natężonej pracy zapadł na ciężką chorobę. Gdybyż przynajmniej w ostatniej jeszcze chwili było mu się dało uzyskać na czas jakiś wypoczynek, którego tak bardzo potrzebował — ale praca była pilna, więc pracował aż do mogiły. Pozostawił żonę z czworgiem drobnych dziatek. Jak był szanowanym i kochanym, tego dowodem był nader liczny orszak pogrzebowy i żal ogólny, z jakim zwłoki jego żegnano.

Trumnę zdobił symboliczny wieniec, uwity z róż, cierni i laurowego liścia, z napisem: „Towarzysze broni z roku 1863-4." (Według „Dziennika Pozn. nr. 226 z r. 1884.)

(Z książki Teodora Żychlińskiego „Wspomnienia z roku 1863".)

(Ciąg dalszy nastąpi.)

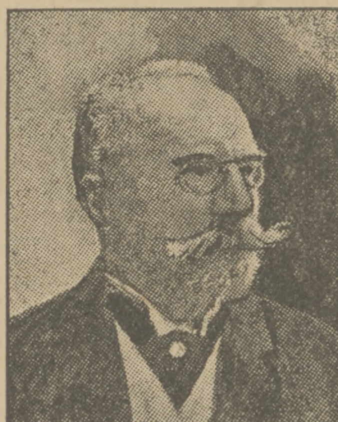
✝

Z żałobnej karty.

Śp. Władysław Bełza.

We Lwowie zakończył życie po ciężkiej chorobie, znany poeta i publicysta polski Władysław Bełza.

Urodził się w 1847 roku w Warszawie, gdzie uczęszczał do gimnazyum, a następnie ukończył szkołę wojskową w Kazaniu. Uwolniwszy się od wojska, wyjechał za granicę, bawił w Krakowie ,gdzie był lektorem Wincentego Pola, następnie udał się do Paryża,



Ś, p. Władysław Bełza.

skąd jednak wrócił niebawem do kraju. W Poznaniu, do spółki z Callierem, Kanteckim i Ordonem założył w 1860 roku „Tygodnik Wielkopolski". W następnym roku przyczynił się do założenia w Poznaniu stałej sceny polskiej. Dzięki to jemu stanął tutaj pierwszy teatr polski, ale rząd pruski uznał Bełzę za niebezpiecznego i wydalił go z państwa.

Bełza przybył tedy w 1872 r. do Lwowa. W uniwersytecie tamtejszym uczęszczał na wykłady literatury polskiej Małeckiego, Pilata i historyi Liskiego, a jednocześnie zarabiał na życie pracą w licznych czasopismach. W 1882 r. otrzymał stanowisko skryptora, w kilka lat później sekretarza, wreszcie naczelnika zarządu wydawnictwa książek ludowych w zakładzie im. Ossolińskich. W 1880 r. założył we Lwowie Koło literacko-artystyczne, a w 6 lat później Tow. literackie im. Adama Mickiewicza. W jesieni 1897 roku obchodził uroczystość trzydziestolecia pracy literackiej. Wydał we Lwowie „Album pamiątkowe Mickiewicza", „Antologię poetów polskich i obcych", „Kobietę w poezyi polskiej", „Sobieskiego w poezyi polskiej", „Żydów w poezyi polskiej" i t. d.

Bełza najchętniej pisywał dla młodzieży i dla dzieci. Niektóre z wierszy jego są do dziś dnia rodzajem katechizmu patryotycznego dla dziatwy polskiej. Zebrane one są w tomy: „Abecadnik", „Złote literki", „Wiązanie Adasia", Podarek noworoczny", „Upominek dla młodzieży", „Gwiazda Kazia", „Dawni Królowie", „Dzieci i ptaszki", „Matka", „Zaklęte dzwony" i wiele innych. Prócz tego redagował pismo dla dzieci „Promyk".

* * *

Śp. Kazimierz Laskowski.

Zmarł w Warszawie Kazimierz Laskowski, wszystkim tak dobrze znany.

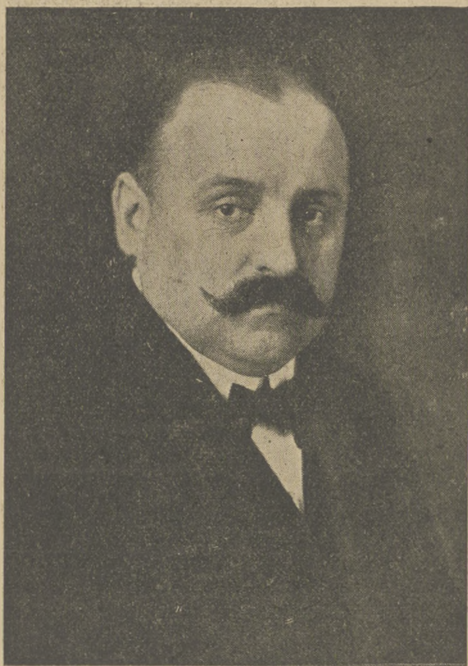


Ś. p. Kazimierz Laskowski.

Była to jednostka popularna, poeta z Bożej łaski, piosenkarz niezrównany. Jego skromne wierszyki rozbrzmiewały tak swojską nutą ludową, że oddźwięk ich znajdował echo na całej ziemi polskiej, odbijając się donośnie nawet pod strzechą wieśniaczą.

Śp. Laskowski urodził się w 1861 r. we wsi Tokarnin, w Jędrzejewskiem, z ojca Tomasza, właściciela dóbr ziemskich, i Waleryi z Rakowskich. Uczęszczał do szkół w Krakowie, wyższe studya odbywał w Niemczech, poczem osiadł we swi Podgaje, skąd pisywał korespondencye i ulotne humorystyczne wiersze.

Napisał powieści: „Parcelacye“, „Zużyty“, „Kulturtreger“, „W ojców ślady“, „Na giełdzie cnoty“, „Licytanci“, „Dla zabicia czasu“, „Chłopska dola“, „Kosztowni dobrodzieje“, „Dygnitarze wioskowi“, „Z powrotem“ i t. d. Poezye: „Wiersze i śpiewki“ (serya I i II), „Z chłopskiej piersi“ (serya I, II, III, IV, V), ‚Bańki mydlane“, „Z pod serca“, „Z majowych dni“, „Melodya“, „Pozwól mi mówić“.



Ś. p. Stefan hr. Kwilecki z Jankowic.
Patrz „Nekrologia“ w zeszłym numerze „Pracy“ strona 143.)

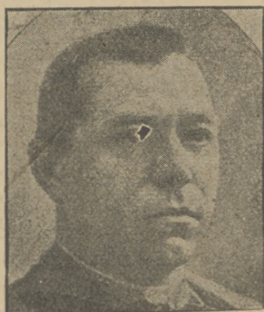
Byłby pisał i tworzył dalej... Śmierć nie pozwoliła mu dośpiewać ostatniej zwrotki piosenki, którą snuł tak czarownie i śpiewał tak pięknie...

* * *

Zgon arcybiskupa wiedeńskiego Nagla.

W Wiedniu zakończył życie po długich cierpieniach, arcybiskup wiedeński kardynał ks. dr. Nagl.

Niedługo zasiadał ks. Franciszek Nagl na wiedeńskiej stolicy arcybiskupiej, zmarł bowiem po trzechletnich zaledwie rządach w archidyecezyi. Jest to w przeciągu ostatnich trzech lat trzeci zgon na wiedeńskim tronie biskupim. Przed dwoma laty pożegnał Wiedeń sędziwego, 90-letniego kardynała Gruszę, gdy po dziesięcioletniem pasterzowaniu przeszedł na wieczny spoczynek. W kilka miesięcy potem zmarł popularny biskup sufragan ks. Gotfryd Marschall.



Ś. p. ks. dr. Nagl,
książę arcybiskup wiedeński

Ks. arcybiskup Nagl był jednym z najwybitniejszych książąt Kościoła w Austryi.

Był on mężem zaufania kuryi papieskiej. Jego trzechletnie rządy zapisały się w archidyecezyi spotęgowaniem pracy katolickiej i ożywieniem życia religijnego. Największym tryumfem zmarłego arcybiskupa był światowy kongres Eucharystyczny we wrześniu r. 1912. Przed kilku tygodniami rozchorował się na raka żołądka i tej chorobie uległ.



Z estrady i sceny.

„Wanda“ Dopplera — „Wachlarz Lady Windermere“ Wilde'a — Wieczór artystyczny.

Tak operowa jak dramatyczna premiera nie przyniosły nam rzeczy nowych. Mimo to „Wanda,“ opera zmadyaryzowanego Polaka niemieckiego pochodzenia, Lwowianina Dopplera, mimo swój wiek patryarchalny, ze względu na rozgłos obecny kwestyi mohametańskiej miała wszelkie pozory aktualności.

Libretto bowiem ukazuje nam epizod z pierwszego aktu wielkiej tragedyi dziejowej, której ostatecznego rozwikłania jest świadkiem wsłuchana w echa grzmiących na Bałkanach strzałów armatnich, drżąca o losy pokoju europejskiego współczesność. Opera kończy się apoteozą bohaterskiego króla Jana, który pod Wiedniem rozpoczął dzieło rozgromu Turcyi, dokonujące się obecnie na krwawych pobojowiskach bałkańskich.

Muzycznie, aczkolwiek nie pierwszorzędnej, to jednak zawsze przyzwoitej wartości opera, daje solistom rozległe pole popisu. Skorzystali z tego bardzo szczęśliwie tak p. Steiflowna jako Wanda jak p. Malawski w partyi Timura. Również na miejscu byli pp. Bukowski, Szeller, Kopczyński, Fotygo. Pieknie wykonane bardzo pomysłowe tańce pp. Bańkowskich, szczególnie taniec Kory w otoczeniu bajader, powszechnie się podobał.

„Wachlarz lady Windermere,“ komedya Oskara Wilde'a, dawana u nas po raz pierwszy zeszłej soboty, to rzecz pierwszorzędnej nie tyle scenicznej ile literackiej wartości. Z niezwykłą estetyczną satysfakcyą słucha się tego wytwornego dyalogu, skrzącego świetnemi paradoksami i tryskającego racami wykwintnego dowcipu. Lubowników specyficznie Wilde'owskiego tonu, jego subtelnej ironii, jego sarkazmu utajonego w błyskotliwej szacie paradoksalnych, rzeczywiście niezwykłych powiedzeń, sztuka ta nie zawodzi. Zawodzili jednak chwilami artyści niektórzy, nie cyzelując dostatecznie jej misternych frazesów. Niejedna perła Wilde'owskiego ducha straciła wskutek tej kowalskiej oprawy blask sobie właściwy.

Na ogół jednak biorąc, przedstawienie prezentowało się dobrze, głównie dzięki znakomitej interpretacyi dwóch głównych ról kobiecych, które u pp. Młodziejowskiej i Morozowiczównej w nader szczęśliwych spoczęły rękach. I jeżeli o przedstawicielkach ról żeńskich powiedzieć należy, iż stanowiły rzeczywiście ozdobę arystokratycznego salonu, to charakteryzacya niektórych lordów dużo pozostawiała do życzenia. Dobra charakteryzacya zaś to większa połowa sukcesu. Większe role męskie kreowali pp. Kęcki i Kindler, którego chłodnej elegancyi życzylibyśmy maleńkiej, subtelnej domieszki uczucia.

Publiczność tak na operowej premierze jak na przedstawieniu Wilde'owskiej sztuki szczelnie zapełniła widownię.

* * *

Nader piękny i podniosły był wieczór artystyczny, który zapobiegliwy komitet Pań naszych urządził w poniedziałek na rzecz Tow. Czyt. Ludowych.

Uroczystość rozpoczęła się piękną deklamacyą okolicznościową, wygłoszoną przez p. Nunę Młodziejowską z właściwą jej maestryą. Następne numery części pierwszej programu wypełniły nader piękne produkcye śpiewne i instrumentalne.

Część drugą wieczoru zainaugurowano odtańczeniem stylowego Menueta w strojach z czasów Ludwika XV. Jakby ożyły misterne figurki z sewrskiej porcelany i przy dźwiękach stłumionej, starej muzyki puściły się w tan, falujący wytwornym, subtelnym rytmem. Oklaskom nie było końca. Trzeba było powtórzyć menuet i dodać lansiera. I znikła wizya starofrancuskiej galanteryi dworskiej. Sarmacką przeszłość wskrzesił hejnał skrzydlatego husarza.

I jawią się oczom naszym Dąbrówka, z kielichem, symbolem wiary chrześcijańskiej w ręku, i św. Salomea, tak jak ją Wyspiański zaklął w swym witrażu, zdobiącym okno kościoła św. Wojciecha, i słodka wizya pierwszej Jagiełłowej żony, i Zygmunt August i umiłowana jego Barbara, i piękna Batorówna i Stańczyk, i Skarga, i Chrzanowska pamiętna obroną Trembowli, i Kościuszko przysięgający bronić ojczyzny, i ks. Józef i Dąbrowski w mundurze generalskim, twórca legionów i Klaudya Potocka znakomicie z miniatury skopiowana. Na zakończenie dano dwa piękne żywe obrazy: rzewne „Pożegnania“ według obrazu Grottgera i Matejkowskiego „Wernyhorę“ przepowiadającego przyszłość Polski. Akordem nadziei zakończył się ten wieczór świetny. Pozostanie on na długo w pamięci uczestników.

R.

Nie masz przykładu w dziejach, ażeby wojownik umierający z orężem w ręku podniesionym przeciwko własnej ojczyźnie, był pomieszczony w szeregu wielkich ludzi.

Fr. Grzymała.

Sceny z dramatu „Szlakiem legionów.”





Fot. Józef Stolski w Poznaniu.
Wobec świeżo wystawionej na scenie naszej znakomitej sztuki Ludwika Hieronima Morstina „Szlakiem legionów“, która entuzyastycznego doznała u publiczności przyjęcia, zamieszczamy dwie ryciny, obrazujące scenę czytania manifestu, oraz scenę końcową tego pięknego patryotycznego utworu.
(Patrz „Z teatru“ w zeszłym numerze.)



Konkurs
na ułożenie elementarza polskiego.

W myśl uchwały Sejmiku Oświatowego z dnia 14-go listopada 1911 r. postanowił Zarząd Główny T. C. L. w Poznaniu wydać nowy elementarz.

Celem elementarza ma być ułatwienie polskiego czytania i pisania dzieciom polskim zaboru pruskiego i to przeważnie w okolicach kresowych. Liczyć trzeba się więc z tem, że nauczający będą pochodzić nie z kół nauczycielskich ani też — z małemi wyjątkami — z warstw inteligencyi, lecz z ludu — że nauczać będą matki, krewni, przyjaźni sąsiedzi, starsze dzieci, że uczyć się będą nieraz i dzieci same, nauczone już w szkole czytania po niemiecku.

Uprzytomnić sobie należy przytem, że dziecko, rozwijające się u nas, spotyka się od niemowlęcych lat nieustannie z nieprzyjaznym jego duszy i sercu obcym wpływem tak, że czytanka elementarzowa winna tchnąć cała nieprzepartym urokiem swojskości...

* * *

Z powodu tego

a) powinien autor zastosować najnowszą i najprostszą metodę nauczania, aby dziecko, po zapoznaniu się z elementarzem mogło czytać łatwiejsze ustępy w innych książkach i nauczyło się napisać łatwe zdania w formie krótkiego listu.

b) Cały dobór zaś przykładów i obrazków, dalej treść elementarza i czytanek powinna być przystępną, dla każdego zrozumiałą a zajmującą i nie nużącą umysłu dziecka.

c) Nie są konieczn czytanki opisowe i nastrojowe wierszyki, natomiast pożądane są krótkie bajki, powiastki, legendy, zdarzenia z historyi ojczystej, przykłady czynów naszych bohaterów i zasłużonych mężów.

Łącznie z tem ma elementarz zaciekawiać i rodziców i dzieci już swą zewnętrzną, skromną lecz wytworniejszą szatą; zawierać obrazki barwne tak przy nauczaniu liter jak przy czytankach, mianowicie obrazki łatwych, znajomych dziecku a swojskich przedmiotów.

Autor elementarza winien treść obrazków zaproponować. O wyrysowanie i namalowanie ich mają być poproszeni wybitni polscy ilustratorzy.

Elementarz ma obejmować 80—120 stron.

* * *

Ułożenie takiego elementarza dla dzieci pruskiego zaboru będzie obywatelskim czynem. Prosimy dlatego naszych pedagogów, aby nie tylko swym umysłem, lecz i sercem w konkursie tym udział wziąść chcieli.

Prace przeznaczone dla konkursu, prosimy nadesłać najpóźniej do 1-go lipca pod adresem: Czyt. Lud., Poznań — Posen, Strzelecka 31.

Praca pownna być opatrzona godłem — nazwisko zaś autora znajdować się powinno w osobnej, temże godłem oznaczonej zamkniętej kopercie.

Nagroda za najlepszy elementarz wynosi 500 mk., a dziełko przechodzi na wyłączną własność T. C. L., która z niej dowolny może zrobić użytek.

Jeżeł sąd konkursowy żadnemu z nadesłanych elementarzy nie przyzna nagrody, pozostanie suma konkursowa do dalszej dyspozycyi komisy elementarnej T. C. L.

Manuskrypty zwróci się. Na życzenie nagrodzonego autora nie wymieni się.

Sąd konkursowy tworzą pp. mecenas Bernard Chrzanowski, ks. kan. Lisiecki, ks. Ludwiczak, p. M. Neyman i p. Jan Suchowiak.

Zarząd Główny T. C. L. w Poznaniu.
Karol Sczaniecki, prezes.



Fot. R. Fischer w Międzyrzeczu.

Jadwiga Stawna, 118-letnia staruszka.
Najstarszą kobietą Wielkiego Księstwa Poznańskiego, a może nawet Niemczech, jest pewnie 118-letnia wdowa Jadwiga Stawna w Dormowie pod Międzyrzeczem, która, jak stwierdzono, urodziła się 15-go października roku 1794. Kobieta ta pracowała ciężko przez całe życie; w ostatnim roku w jesieni zatrudnioną była jeszcze wybierką ziemniaków. Staruszka, która od kilku lat pobiera rentę starości, leży od kilku tygodni w łóżku tknięta paraliżem. Krewnych nie posiada, bo przeżyła wszystkich.

KRONIKA.

Kupujmy u swego i wyroby swojskie.

— **List pasterski.** Najprzewielebniejsi księża administratorzy archidyecezyi gnieźnieńskiej i poznańskiej wydali z powodu wielkiego postu list pasterski, który w ubiegłą niedzielę w święto Matki Boskiej Gromnicznej był odczytany wraz z przepisami postniemi w czasie sumy w miejsce kazania.

— **Egzamin.** Doktór praw p. Stanisław Celichowski, najmłodszy syn p. dra Z. Celichowskiego z Kórnika, złożył w tych dniach w Berlinie egzamin asesorski.

— **Na „Fundusz Obrony Narodowej“** złożył na nasze ręce p. Starbowiak 10 mk. od Polaków z Celichowy.

Dalsze datki przyjmujemy.

— **Na „Fundusz Weteranów z 1863 r.“** otrzymaliśmy 10 m. 30 fen. zebranych za pośrednictwem p. mecenasa Dra Głowackiego z Poznania na ślubie

panny Anny Juretzko z Poznania z panem Władysławem Mikulskim z Berlina, odbytym dnia 2-go b. m. w Poznaniu.

— **Nasze banki.** Z nadesłanego nam 44 sprawozdania Banku ludowego w Kościanie za rok 1912 wykazuje się, że obrót wynosił 21 176 520 mk. Bilans 6 962 586 mk. Czystego zysku do dyspozycyi walnego zebrania pozostaje 35 306 Członków na rok 1913 przeszło 2162. Dyrektorem banku jest ks. prob. dr. Surzyński wybrany na czas nieograniczony. Przewodniczącym rady nadzorczej jest p. dr. Wojciech Laurentowski.

Walne zebranie banku odbędzie się w czwartek 13 lutego o godz. 2 po poł. w sali p. Lurca.

— **Kobiety - rzemieślniczki.** W tych dniach rozpoczęły się egzaminy na mistrzynie dla kobiet. Pierwszy taki egzamin krawczyń, a wogóle pierwszy taki egzamin dla kobiet w Izbie rzemieślniczej poznańskiej odbył się w zeszłą niedzielę. Przewodniczył jako przewodniczący komisyi egzaminacyjnej p. L. Miklaszewski.

W obecności czterech ławniczek należących do komisyi, dalej radcy regencyjnego jako zastępcy władzy, oraz przewodniczącego i sekretarza Izby rzemieślniczej odbył się ten pierwszy egzamin. Do egzaminu zgłosiły się 4 panie i wszystkie go zdały.

Egzaminy te odbywać się będą w dalszym ciągu, gdyż zgłosiło się już 18 kandydatek. Z tych z Poznania 11, i to 9 Niemek i dwie Polki, a z prowincyi 7. i to 5 Niemek i 2 Polki.

Podpada, że tak mało Polek się zgłasza, a przecież jest ich więcej niż Niemek.

Wszystkim kobietom pracującym w rzemiosłach, doradzić można, by do tego egzaminu się zgłaszały. Egzaminy odbywać się będą, w miarę zgłoszeń, prawie bez przerwy do 1-go października. Z dniem 1-go października ustaje tak zwany czas przejściowy, i z tym dniem skończy się ułatwiony egzamin. A więc panie korzystajcie z czasu.

W Poznaniu Towarzystwo Młodych Przemysłowców uchwaliło przyjmować do swego grona samodzielne kobiety pracujące w rzemiosłach, ażeby być pomocnem w tych sprawach.

Także tutejszy cech krawiecki przyjmuje kobiety do swego grona, gdzie jako członkinie mogą korzystać z wszelkich praw cechom przysługujących. Dla czeladniczek nie szczędzi pracy i zabiegów Towarzystwo Personału żeńskiego, zatem panie, które pracują jako rzemieślniczki mają dość sposobności dowiedzenia się, czego im potrzeba. Niech nie odwlekają, i nie czekają do ostatniej chwili, aby nie było za późno.

— **W sprawie** podwyższenia cen za skóry i obuwie. Od mniej więcej pół roku panuje na rynku surowych skór całego świata tak wielki pokup, że z tego powodu tenże artykuł podrożał o 30—40 proc., w następstwie czego właściciele garbarni i fabryk skór podwyższyli ceny na surowiec. Ponieważ niema widoków, ażeby ceny się utrzymały przypuszczać trzeba, że będą jeszcze wyższe, przeto nastąpi również podwyższenie cen za obuwie i reperacye. Ceny za obuwie przynajmniej o 15—20 proc. podrożeją, a szewcy nie tylko za nowe obuwie, ale także za reperacye zmuszeni są więcej żądać niż dotąd.

Dla postanowienia niezbędnej nadwyżki cen za obuwie podług miary i reperacyi Towarzystwo handlarzy obuwia na Poznań i Księstwo Poznańskie porozumiało się z cechem szewskim i w tych dniach ceny zostaną ogłoszone.

— **Z Wrocławia** otrzymaliśmy sprawozdanie roczne Towarzystwa Polsko-katolickiego, z którego dowiadujemy się, że Towarzystwo pomyślnie się rozwija pod każdym względem, pielęgnując ideały przekazane przez ojców. Nie mogąc dla braku miejsca zamieścić długiej korespondencyi nadmieniamy jeszcze, że Tow. abonuje dla członków następujące gazety: Organ Związkowy „Dziennik berliński“, „Gazetę Ludową“, „Lecha“, „Pracę“ i „Przewodnika katolickiego“.

— **Wrocław,** 5-go lutego. W zeszłą niedzielę odbyła się wieczornica karnawałowa tutejszego Towarzystwa gimnastycznego „Sokół,“ na którą złożyły się: sztuczka teatralna „Bursztyny Kasi,“ popisy solowe druhów Filaretów, śpiewy, gra na skrzypcach, deklamacya Miecia Jarmuża i t. d. Amatorzy i amatorki wywiązali się doskonale ze swego zadania, o czem świadczyły huczne, niemilknące niemal oklaski licznie zebranej publiczności.

Uczestniczka.

— **Z Berlina** otrzymaliśmy sprawozdanie roczne tamtejszego Towarzystwa Polskich Fryzyerów od 1. I. 1912 do 1. I. 1913 za rok dziesiąty, jubileuszowy

Ze sprawozdania, którego niestety dla braku miejsca nie możemy zamieścić, dowiadujemy się .że Towarzystwo pomyślnie się rozwija pod każdym względem.

Wewnętrzną działalność Towarzystwa stanowiły: szkoła fachowa, odczyty, wykłady, obszerne korzystanie z biblioteki i w końcu zaprowadzenie lekcyi pisowni polskiej. Zewnętrzną pracą było: urządzenie publicznego czesania, obchód dziesięcioletniego jubileuszu, liczne wycieczki w okolice Berlina i wieczorki mody, urządzane przez ćwiczących się w szkole kolegów.

Sekretarzem Towarzystwa jest p. Hieronim Kujawski. Lokal posiedzeń znajduje się przy Andreasstrasse 3. Berlin O.

— **Polskie Biuro ogłoszeń** powołane zostało do życia w Warszawie w myśl hasła „Swój do swego“. Biuro postanowiło przeznaczać stale co pewien czas część dochodu na cele kulturalno-narodowe. Adres: Polskie Biuro ogłoszeń i dzienników St. Koźmiński Warszawa, ulica Widok Nr. 3.

Nekrologia.

Ś. p. Ludwik Jasiński, 34 lata, dnia 27-go z. m. w Poznaniu. — *Ś. p. Stanisław Soborski*, 65 lat, dnia 29-go z. m. w Kościanie. — *Ś. p. Jan Stemplewski*, dnia 26-go z. m. w Pelplinie. — *Ś. p. Jan Lonatowski*, dnia 26-go z. m. w Pelplinie. — . *Śp .Józef Redmer*, pozasłużbowy organista z Radomna, 83 lata, dnia 25-go z. m. w Kilonii. — *Ś. p. z Hołmanów Marya Śniegocka*, dnia 29-go z. m. w Ostrowie. — *Ś. p. Jan Jankowski*, dnia 29-go z. m. w Herne w 58-ym roku życia. — *Ś. p. z Linkowskich Bronisława Nowak*, dnia 30-go z. m. w Poznaniu w 42-gim roku życia. — *Ś. p. Marcin Kowalewski*, dnia 30-go z. m. w Poznaniu. — *Ś. p. Adam Giziński*, dnia 31-go z. m. w Poznaniu na Zawadach, przeżywszy lat 36. — *Ś. p. Wincenty Wolski*, ojciec redaktora kościańskiej „Gazety Polskiej“ weteran z 1863 roku, dnia 1-go b. m. w Kościanie. — *Ś. p. Helena z Brunszów Błenska*, dnia 1-go b. m. w Puszczykowie w 36-ym roku życia. Pogrzeb odbył się dnia 5-go b. m. w Poznaniu. — *Ś. p. Stanisław Swat*, dnia 1-go b. m. w Lwówku, przeżywszy lat 56. — *Ś. p. Barbara Pruszak*, przełożona Domu Sióstr Miłosierdzia w Kościanie, dnia 2-go b. m. w Kościanie. — R. i. p.

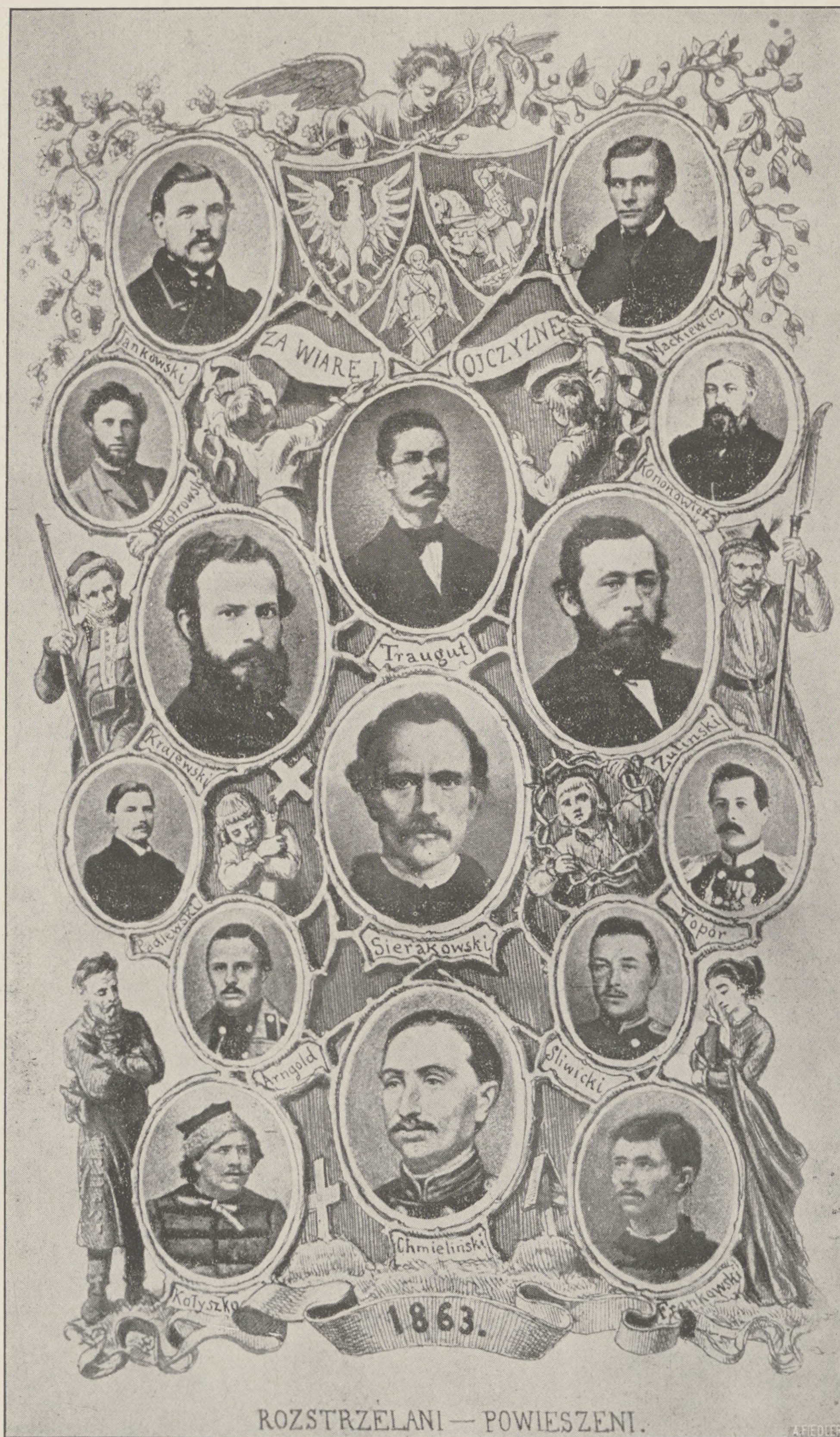
Od Redakcyi.

— *Komitetowi Wystawy w Pleszewie.* — Było już zamieszczone w pismach codziennych, więc powtórzyć nie możemy po tygodniu.

— *Pani M. M. w Poznaniu.* — „Agence polonaise de Presse“, Paris 6e No. 27—45 rue de Rennes poinformuje Szan. Panią w wiadomej sprawie.

— *Pani Z. D. w Landsbergu.* — Pocztówki, o której Szan. Pani pisze, nie otrzymaliśmy.

— *Panu J. S. w Hertwigswalde.* — Niech Szan. Pan umieści odpowiedni anons w „Pracy“. Na anons należy nadesłać 2 mk.



Fot. „Camera" Z. Śniegocki w Poznaniu.

Grupa bądź rozstrzelanych bądź powieszonych wybitnych uczestników powstania styczniowego.

(Reprodukcya z oryginału będącego własnością architekta p. Czesława Leitgebra z Poznania.

 DRUKIEM „PRACY."



Uczennice przy pracy w sali wyrobów metalowych w szkole artystycznego rzemiosła.

Artystki w rzemiośle.

Kto dziś jeszcze pyta o zaradność kobiet lub wątpi o możliwości poświęcenia się ich zawodowi rzemiosła artystycznego, ten odgrywa rolę komicznego turysty z komedyi, który przybywa zawsze na dworzec po odejściu pociągu.

Rozwój kultury rozstrzygnął już dawno tę kwestyę i pomimo uzasadnionych rozważań i namysłów, wypłynęły tysiące odważnych kobiet na pełne morze życia zarobkowego. Kto chce uniknąć możliwej katastrofy, musi się zawczasu starać o odpowiednie siły i o znajomość kierowania łodzią, lecz bądź co bądź można spokojnie patrzeć na tę walkę z burzliwemi falami, bo i kobiety zastósowały się już od dawna do orzeczenia Diderota, że: „zdrowy rozum jest geniuszem ludzkości“.

Kto dziś na ląd nowy wstąpić zamierza, wie, że przedewszystkiem musi nabrać dokładnego wykształcenia fachowego. Sztuka zanadto jest dziś wydoskonaloną, aby dyletanckie wiadomości zyskały na jakiemkolwiek bądź polu uznanie lub powodzenie. Dążąca do celu uczennica rzemiosła artystycznego pragnie tak samo jak i poważny rzemieślnik-artysta osiągnąć ideał swej pracy, a więc dojść do doskonałości w wybranym zawodzie.

Olbrzymie hale wspaniałej wystawy są to, dzięki umiejętności artystek „przestworza“ racyonalnie podzielone i z najwytworniejszym gustem ozdobione. Mieszkania, odpowiadające całej skali możliwych wymagań, urządziły także kobiety artystki, tak samo, jak dekoracye wystawnych okien. Modne plakaty, meble, kolorowe szklane okna — wszystko to jest dziełem kobiet!

Tylko fanatyczny zwolennik Ben Akiby odwołuje się jeszcze na znane zdanie wschodniego mędrca, że „wszystko już raz było na świecie!“ Jest to formułka bardzo wygodna, lecz nie zmienia ona faktu, że kobieta dziś pracuje zupełnie tak samo jak i mężczyzna. Z genialną lekkością ozdobiła ręka artystki oryginalny teatr prześliczną ornamentyką i niezwykle dobranemi kolorami, inna znów, artystka tkacz, zaopatrzyła willę, począwszy od portyer aż do dywanu na schodach, w materye, które mogą się równać śmiało z wytworami Morrisa.

Artystka w rzemiośle jest faktorem w wieku industryi. Jeżeli Karol Larsson, sławny malarz szwedzki, pisze do przyjaciela, któremu się zdaje, że odkrył talent u swej córki:

„Dziękuję Bogu za to, że dzieci moje są chemicznie czyste, tj. że nie mają żadnych artystycznych talentów. Każ nauczyć twoją córkę czegoś praktycznego i użytecznego, bo ja nie wierzę w artystyczne zdolności kobiet. Wszystko, co piszą w gazetach o talentach kobiet, czyta się bardzo ładnie i wszystko to brzmi doskonale, ale w rzeczywistości ukrywa się za świetnością tą bieda i rozpacz,“

to niedowiarstwo takie jest bezwątpienia uzasadnione i godne uwagi. Ale kobiety zastanawiają się tak dokładnie nad wyborem zawodu i starają się o takie wykształcenie, że cofnąć się już nie mogą, chociażby ta lub owa miała paść ofiarą nowego prądu.

Akademia trwa uporczywie przytem, aby nie przyjmować żeńskich uczni, ale rządowe szkoły artystycznego rzemiosła nie znają różnicy w przyjmowaniu uzdolnionych uczni lub uczennic. Bardzo dobre szkoły prywatne przyjmują także kobiety, i jak w uniwersytetach coraz jest więcej żeńskich słuchaczy w wszystkich niemal wydziałach tak i szkoły rzemiosła są z góry już zapełnione kobietami.

Szkoła artystycznego rzemiosła np. w Berlinie liczy mnóstwo uczennic, a dyrektor jej, profesor Bruno Paul nauczył się już oceniać talent kobiet. Artysta ten jest doskonałym nauczycielem dlatego, że jest wybornym praktykiem. Nie znosi on manier a la Bohème, bo wie, że walka o byt i prędkość, z jaką dziś ludzie żyją, wszelkiego natężenia sił wymagają. Czy od mężczyzny, czy od kobiety, czy przy wybijaniu metali, czy przy haftowaniu jedwabiu: on wymaga, aby każdy uczeń był przekonany, że tylko w tym zawodzie może dojść do celu. Wie, że robota ręczna jest głównem polem dla kobiety, że jako rytowniczka może dojść do doskonałości, lecz nie opiera się wcale, jeżeli kobieta inny sobie zawód wybierze.

W jego klasach i warsztatach widzimy także kobiety zajęte rysowaniem dekoracyjnych wzorów lub tworzeniem naczyń metalowych; tu uczą się jubilerstwa, tam rzeźby lub malarstwa dekoracyjnego. Kobiety muszą

się także nauczyć subordynacyi i przejąć się duchem czynu, którego później w życiu zawodowem bezwarunkowo publiczność żąda. Tutaj kształci się oko i ręka na rzeczywistości; uczący się patrzą na przyrodę i usiłują to, co widzą, wiernie naśladować, stylistycznie przekształcić. Skoro



Uczennice przy pracy w modelowni w szkole artystycznego rzemiosła.

umysł jest zdolnym do pojęcia i odczucia czegoś, to wykonanie łatwiejszem się staje. Droga wiedzie na odwrót: przez życie z powrotem do tradycyi, i jedno i drugie złączone razem, podnoszą dzieło i nadają mu wartość.

Najwięcej uważa się tu na znajomość materyału i na dokładne zbadanie pracy. Na obecnej wystawie robót uczni i uczennic w królewskiej szkole artystycznego rzemiosła pod kierunkiem profesora Paula, nie różnią się roboty uczennic np. klejnoty, wyroby plastyczne, rytowane, hafty itp., niczem od robót uczni. Powierzchowne i lekkomyślne uczennice zostały bez miłosierdzia — jedna po drugiej, wydalone, te zaś, które zostały, mają uzasadnione nadzieje otrzymania korzystnych miejsc.

Ale jak każda rzecz ma ujemne strony tak i tu niejedną kobietę różne czekają przykrości, chociaż rozsądek powinien sam mówić, że to są rzeczy konieczne i nieuniknione. Panna np. z dobrego domu nie powinna czuć się obrażoną, jeśli musi się uczyć razem z zwyczajnym rzemieślnikiem, i jej roboty tak samo bywają ofiarowane kupcom jak roboty innych rzemieślników.

Z drugiej znów strony stara się zarząd szkoły o stosunki z firmami na plakaty, na roboty ręczne, hafty i z wydawcami ozdobnych książek. Zakład ten naukowy stoi zawsze jak wierny opiekun za tymi, których wykształcił. Teraz właśnie złożył egzamin mistrzowski pierwszy żeński złotnik — inne kobiety będą naśladowały ten przykład i tak będzie miało rzemiosło artystyczne dużo dzielnych przedstawicielek!



Chrystus Pocieszyciel.

— Chodźcie tu do mnie wy, coście
zmęczeni,
Wy, którzy w piersiach macie serca
smutne,
Któremi losy miotały okrutne
W życiu bez słońca, bez gwiazd i promieni.

Chodźcie tu do mnie, a ja was pocieszę,
Wyciągnę do was miłosne ramiona:
Znojne, zbolałe, spracowane rzesze,
Wam, którym w piersiach nadzieja już
kona.

Wrócę ją, w biednych sercach wam ją
wskrzeszę,
Do przebitego przygarnę was łona,
Rozpacz daruję, z rozpaczy rozgrzeszę,
I z bark wam zdejmę gniotące brzemiona.

— Chodźcie tu dzieci bez ojca i matki!
Chodźcie tu do mnie ubogie sieroty:
Ja wam dam wszystkie te czerwone
kwiatki,
Co mi zakwitły na drodze Golgoty.

Ludzie nękani gorączką tęsknoty,
Mienia swojego tracący ostatki,
Chodźcie.. ja w piersiach miłość wam
rozpalę,
Niebo nad głową ukażę wam w górze.

Tchnę łaską wiary i uciszę żale,
Wam, Ojca mego widzącym w lazurze,
Gdzie się nad światów unosi kręgami,
Wam, dam mój pokój, niech zostanie
z wami!

M. Ilnicka.



Wartość człowieka.

Handel niewolnikami wykazuje, jak rozmaitą jest wartość człowieka co do piękności, płci, siły i zdolności do pracy — i u nas dzieje się podobnie w naszych socyalnych uczuciach, gdzie człowiek zwykle nie podług wewnętrznych, tylko podług zewnętrznych wartości oszacowanym bywa.

Że wartość człowieka nie polega wyłącznie na jego osobistych cnotach i zaletach, to jasne. Wartość jego zależy raczej od stanowiska, jakie zajmuje w rodzinie, od pracy i od dochodów, jakie mu praca daje. Przy nieszczęściach kolejowych są żądania o odszkodowanie pozostałych bardzo wyraźne. Zdarzają się wypadki, w których żądania te pozostałej wdowy i sierot dochodzą do pół miliona marek. Obliczenie wartości człowieka odbywa się bardzo sumiennie i walka bywa zwykle niezmiernie zaciętą. Bo podczas kiedy adwokat pozostałych usiłuje oszacować dochody zmarłego o ile możności jak najwyżej i udowodnić, że z biegiem czasu byłyby dochody te coraz to wyższe, stara się zastępca towarzystwa, mającego płacić odszkodowanie przedstawić zmarłego jako człowieka małej wartości, nie pod względem etycznym, tylko ściśle pod względem materyalnym. Przy takiem wysokiem taksowaniu z jednej a nizkiem z drugiej strony, nie chodzi nikomu o przymioty charakteru i serca, chyba wtenczas, jeżeli strona mająca wypłacić odszkodowanie chce udowodnić, że zmarły był graczem lub pijakiem i że z tego powodu byłby wnet umarł lub zmarnował majątek, że



Klasa fachowa dekoracyi, malarstwa i rysunków w szkole artystycznego rzemiosla.
(Patrz artykuł „Artystki w rzemiośle.“

więc pozostała po nim rodzina nie wiele na nim straciła.

Tak jak cały człowiek, to jest całe jego ciało pewną posiada wartość, tak samo dzieje się z każdym poszczególnym jego członkiem, z których każdy odmienną ma wartość. W zabezpieczeniach od wypadków chodzi bardzo o to, czy skaleczony człowiek jest dla dalszej pracy mniej lub więcej zdolnym i łatwo zrozumieć, że prawa ręka o wiele więcej jest wartą, niż lewa.

W statystyce kolei żelaznych w Anglii czytamy, że za stratę ręki płacono 3000—15,000 mk., za oko 4000—16,000 marek.

Za skaleczoną nogę, która później była sparaliżowaną i bezwładną, otrzymał pewien inżynier angielski odszkodowanie w wysokości 60,000 marek.

Artyści każą się bardzo wysoko zabezpieczać — to jest nie siebie samych, tylko ręce, gardło itd., a zatem to, co im do wykonania ich sztuki jest potrzebnem. Jan Kubelik i Paderewski zabezpieczyli ręce na szalenie wysoką sumę, śpiewaczka Cavaliri — dosyć zresztą mierna artystka, płaci niesłychanie wysoką premię za swoją krtań, a malarz Mucha otrzyma na przypadek utraty wzroku 200,000 marek. Obliczywszy bajeczne sumy, jakie artyści co rok zarabiają, to przyznać trzeba, że zabezpieczenie ich rąk i krtani nie jest zbyt wysokiem.

Zdrowe członki na zastąpienie straconych bywają także często poszukiwanemi i bardzo wysoko opłaconemi. Pewien lekarz w Nowym Yorku szukał niedawno kogoś, kto za 20,000 marek chciałby dać ucho dla pewnego bogatego człowieka. Bogacz stracił ucho przypadkiem i chciał mieć nowe. Przeniesienie zdrowego ucha wymagało bardzo bolesnej operacyi, a jednak znalazło się kilku biedaków, którzy woleli mieć jedno ucho niż próżną kieszeń. Pewien podupadły hotelista został wybranym z pomiędzy kilku kandydatów i otrzymał natychmiast przyrzeczoną sumę.

O wiele więcej zgłosiło się chętnych do odstąpienia zdrowego członka, gdy lekarz szukał palca dla swego pacyenta, bankiera, posiadającego miliony. Przy wypadku automobilowym został mu palec zmiażdżonym i trzeba było szukać innego. Lekarz podał 1500 marek za palec — kandydatów zgłosiło się przeszło trzystu, ale nie uwzględniono żadnego. Palec bowiem zagoił się i nie potrzeba go było amputować.

Wobec ruchu kobiecego powstawały już nieraz ożywione dysputy nad pytaniem: kto więcej jest wart, kobieta czy mężczyzna?

I tu zależy wszystko od okoliczności i warunków, i w sprawach procesowych rozstrzygają sądy każdy wypadek inaczej. Rozchodzi się i tu zwykle o tysiące. Jeżeli naprzykład składa mężczyzna kobiecie hołdy w taki sposób, że można myśleć o małżeństwie, a potem nagle cofnie się zupełnie, wtedy ma kobieta prawo skarżenia go o „breach of promise“, tj. o złamanie przyrzeczenia, a raczej o odszkodowanie — wysokość zaś sumy zależy od towarzyskiego stanowiska i majątku pozwanego.

Praktyczni Anglicy i Amerykanie zamieniają nawet ból serca, zazdrość i rozłączenie często na złoto — doświadczył tego niedawno pewien sędzia w Brooklynie na swoją własną niekorzyść. Pewien posiedziciel wiejski zaskarżył go o zabranie mu serca żony. Pomimo wszelkiego wypierania się, została wina sędziemu udowodnioną i skazano go na zapłacenie 100,000 pokrzywdzonemu małżonkowi. Czy niewierna żona jest warta tej sumy, to mogą rozstrzygnąć tylko obie strony procesu. Sąd w każdym razie musiał być o tem przekonany.

Dotychczas była mowa tylko o wartości człowieka bez wszelkich dodatków. Człowiek ubrany znów inną odgrywa rolę w oszacowaniu go, bo inaczej przecież taksuje się obdartego włóczęgę a inaczej naprzykład takiego Pierponta Morgana, trzymającego właśnie w ręku książkę z czekami! Inną wartość przedstawia księżniczka dolarów, jadąca na bal i mająca na sobie brylantów za kilka milionów, a inną skromna robotnica w sukni perkalikowej.

Ale nad wszelką wartością zewnętrzną stoi wartość wewnętrzna — tylko — niestety, czasy nasze są tak zmateryalizowane, że cnoty i zalety charakteru i serca najmniej można zamienić na marki i fenygi...

Einpa.

Będzie ten płakał, kto się z płaczu śmieje.

* * *

Chcąc mnie sądzić, nie ze mną trzeba być, lecz we mnie.

* * *

Dziwnie Opatrzność boska swoich wiernych broni;
Gdy zechce, pajęczyną jak murem zasłoni.



Pierwszy ranny w wojnie bałkańskiej.

W szpitalu białogrodzkim, leży w osobnym pokoju pierwszy ranny obecnej wojny bałkańskiej.

Wysoki, tęgi mężczyzna, z czarnym wąsem, oficer rezerwy — a w życiu prywatnem adwokat w miasteczku Kraljewie. Na pierwszą wieść o wojnie porzucił swoje biuro, klientów, familię i poszedł z drugimi, pełen nadziei i zapału — poszedł walczyć za tak piękny ideał, jakim jest wolność!

Dwie godziny po pierwszej potyczce, utkwiła mu już turecka kula w kolanie. Co się potem stało — trudno mi powiedzieć, któżby się troszczył o rannego — toć to tylko jeden. Konnica jechała dalej w kraj turecki, a on z kulą w kolanie pozostał na polu bitwy, musiał czekać, aż przyszła pomoc. Dzień był dżdżysty i zimny, z bagien Drynu ulotniały się trujące mgły; adwokat z Kraljewa leżał we febrze i śnił o swych aktach, o swym spokojnym domku, o swej kochającej żonie, która przy pożegnaniu tak go serdecznie uściskała.

Długo trwało, zanim go znaleziono; jeszcze dłużej, zanim, przenoszony z lazaretu do lazaretu, dostał się nareszcie do szpitala w Białogrodzie.

Tutaj miał odzyskać zdrowie, przecież w szpitalu białogrodzkim pielęgnują chorych nawet córki królewskie i córki ministrów; są tutaj też najlepsi lekarze.

Adwokat z Kraljewa uśmiechał się znów weselej, po tylu strasznych nocach. Na drugi dzień przyszli profesorowie, obejrzeli nogę, oblicza ich spoważniały. Po cichej naradzie został pierwszy ranny Serbii przeniesiony do sali operacyjnej i położony na stół materacowy, gdzie go sztucznie uśpiono; a gdy się obudził, już miał nogę do kolana odjętą...

Lekarze musieli to zrobić, aby mu życie uratować; rana już była tak zaogniona, że innej rady nie było. Pożałowania godnego adwokata spotkało nieszczęście, o którem w biurze swem nigdy nie myślał; został kaleką!

Z rzeczywistością tu nie może on się jeszcze pogodzić, ten nieszczęśliwiec i widząc go tak siedzącego na łóżku pomyślałem mimowoli: czy nie lepiejby było, żeby był umarł?

Ależ głupstwo! Życie więcej warte aniżeli pół nogi! — Patrzcie na tego mężczyznę, który tam jak dziecko bezradny leży; patrzcie jak on przewróconemi oczyma patrzy w próżną dal i jak obiema rękoma trzyma ten obwinięty pień — jakby to coś obcego było, coś strasznego, coś, co się przyczołgało, coś — do czego się z trzęsącym strachem — przyzwyczaić musi. Jego żona przyjechała z Kraljewa, pielęgnuje go serdecznie, bohatersko, bez łez. Córki ministrów przynoszą mu kwiaty i owoce, król mu przysłał piękny krzyż; lecz on nic nie widzi, ani kwiatów, ani krzyża, ani swej własnej żony, z którą się przed mniejwięcej czterema tygodniami tak serdecznie żegnał. Jego interesuje tylko — ten zawinięty kloc, który obiema rękoma trzyma....

Alojzy J. Gawrych.



W buduarze.

Bal perłowy.

Bal, znany w amerykańskiem towarzystwie jako „perłowy“, uwiecznił się w historyi Washingtonu po wszystkie czasy. Urządziła go pani W. A. Draper, wdowa po dawniejszym amerykańskim ambasadorze w Rzymie. Goście, których było około 300 ukazali się w kostyumach francuskich z końca 18 stulecia, i to takich, jakie noszono wówczas na dworze królewskim. Gospodyni miała na sobie perły, wartości dwóch milionów marek, włosy jej zdobił dyadem, w którym lśniły ogromne perły białe i czarne — każda po 20,000 marek! Kolczyki składały się także z pereł białych i czarnych — na szyi zaś miała collier z czterech rzędów pereł — najdłuższy rząd sięgał prawie aż do ziemi. Wycięty stanik obszyty był bortą, haftowaną perłami, tak samo rękawy i pasek.

Córka jej, dziedziczka 120 milionów marek, miała naszyjnik z pereł, które jej ojciec przez lata całe zbierał w wszystkich częściach świata. Najpiękniejszą perłę otrzymał w podarunku od królowej włoskiej Małgorzaty, znanej amatorki pereł.

Wszystkie panie, biorące udział w tym balu miały perły, innych drogich kamieni nie było tam wcale widać. Nawet miss Gould wyrzekła się tego wieczora swych przepysznych rubinów i wzięła perły, nie tak piękne i kosztowne wprawdzie, jak perły gospodyni domu, ale mające wartości półtora miliona! A więc mogła się w nich już pokazać!

Nie potrzeba naturalnie dodawać, że wszystkie właścicielki pereł są same — perłami!

* * *

Środki upiększające na Wschodzie.

Wschodnie przepisy na piękność! Jakiś czar tajemniczy otacza je zawsze i niejedna kobieta pragnie uchylić chociaż na chwilę zasłony, pod którą się ukrywają! Możemy przecież zadowolić tę ciekawość i udzielić kilka przepisów, zdradzonych przez jedną z dam haremowych. (Kobiety na Wschodzie są widocznie niedyskretne).

Tajemnica cudownie pięknej płci, właściwej tamtejszym kobietom, nie polega tyle na używaniu niezbadanych kosmetyków, ile w pierwszej linii na wykonywaniu przepisów hygieny. Żadna pewnie z naszych pań na Zachodzie nie kąpie się co rano tak troskliwie i starannie, jak kobieta na Wschodzie. Odpowiednia temperatura wody jest najpierwszym warunkiem kąpieli — woda powinna więc być letnią. — Po kilku minutach należy dolać ciepłej, aby zanadto nie wystygła, nic tak bowiem płci nie szkodzi, jak woda zbyt zimna. Lecz i gorąca nie służy. O ile możności powinna woda być rzeczną — każda płynąca więcej ma siły życiowej, niż stojąca.

Z tem wszystkiem ma na piękność i delikatność płci największy wpływ kąpiel wzmacniająca. Nietylko, że upiększa ją, ale i nerwom siły dodaje.

Przed kąpielą należy ciało natrzeć najlepszą oliwą i masować je z dołu do góry tak długo, dopóki oliwa zupełnie w pory nie jest wtartą. Potem następuje kąpiel, w czasie której ciało powinno być znów nacierane średnio miękką szczotką, zamaczaną w alkoholu. Po tej procedurze odpoczywa piękna kobieta pół godziny w wodzie, bierze zimną tuszę i rozpoczyna masaż osuszenia za pomocą t. zw. tureckiego ręcznika. Nakoniec pudruje ciało pudrem z białych lilij i pierwsza część rannej tualety skończona.

Twarz odrębnej wymaga pielęgnacyi. Do mycia twarzy należy używać koniecznie wody deszczowej, w której się moczy nać pietruszki 12 godzin. Potem dodaje się do wody trochę olejku z róż albo lilij. Ulubionym kosmetykiem kobiet na Wschodzie jest sok cytrynowy zmieszany z śmietanką, albo jęczmienna woda, przygotowana w następujący sposób: wrzucić garść jęczmienia w wodę i moczyć go tak długo, dopóki ziarna zupełnie nie zmiękną. Potem przelać przez muślin, dodać kilka kropli tynktury bezoe i wszystko razem doskonale zmieszać. Tą wodą należy myć się dwa razy dziennie.

Białość rąk natomiast zawdzięczają



Na lekcyi haftu w szkole artystycznego rzemiosła.
(Patrz artykuł „Artystki w rzemiośle.“)

tamtejsze kobiety częstemu myciu ich w wodzie, w której znajdują się potarte ziarna kukurydzy i cokolwiek trocin.

Wszystkie te przepisy są łatwe do wykonania — radzimy je więc spróbować. Zaszkodzić w każdym razie nie mogą!

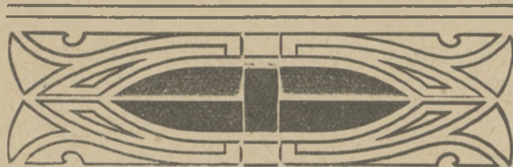
* * *

Powrót kieszeni.

Po długiej nieobecności, potajemnie przez wiele pań upragniona, a przez surową i bezwzględną modę wygnana, wraca do nas — kieszeń! Sam zdrowy rozum żąda jej powrotu! Artyści i twórcy prostej linii spowodowali jej zagładę — w nadmiernie szczupłej sylwetce modnej kobiety nie było już miejsca dla potrzebnej kieszeni! Suknia stała się arcydziełem, nie zaś miejscem do schowania rozmaitych, do niej nie należących przedmiotów — tak przynajmniej twierdzili z dumą mistrze pięknej linii.

I tak ciężkie zaczęły się czasy dla biednej kieszeni. Chowano ją w podszewkę, w spodnicę, a w końcu usunięto ją zupełnie. Stała się wprawdzie samodzielną, istniała sama dla siebie. i przeznaczona do wyższych celów. rozwinęła się z czasem do niezmiernych rozmiarów i wielkiej wspaniałości. Rozpoczęło się panowanie torebek i pompadurek — suknie stały się tak obcisłe, że najmniejsza kieszonka byłaby zepsuła obliczony efekt. Ręczna torebka była koniecznością i jedynem rozwiązaniem trudnego zadania. Wszędzie widać było wspaniałe pompadury, ozdobione złotym haftem i srebrnemi sznurami, frendzlą i bortami. Były torebki promenadowe, skromne, lecz eleganckie, salonowe, nadzwyczaj strojne i wykwintne i torebki teatralne, podpadające jasnemi kolorami i niezwykłym przepychem. Ale wszystko to nie było dawniejszą kieszenią, ową skromną, niepozorną sługą, która zawsze była na miejscu, gdy jej się potrzebowało i której nie można było ani zgubić, ani zarzucić tak, jak się to wiecznie dzieje z torebkami. Kieszeń została wygnaną i czekała cierpliwie, aż godzina powrotu jej wybije. I godzina ta nadeszła! Kopciuszek tualety wraca i kto wie, czy jako królowa nie zasiądzie wnet na tronie mody! Obecnie nie wraca jeszcze jako tryumfatorka, cicho i nieznacznie usuwa się do sukien, ukrywając się starannie w fałdzistych draperyach. Powrót swój zawdzięcza przedewszystkiem ulubionym tej zimy ulstrom i „flauszom“. Okrycia te mają kieszenie, w które można to i owo włożyć — nawet ręce można w nich zagłębić! Kieszenie bywają zakryte wprawdzie oszyciem lub dużemi guzikami, ale najważniejszem jest to, że są i że zostaną. Bo wszystko wraca...

Otrys.



Hygiena.

Antyseptyczne wody do ust.

Czy próchnicę zębów wywołują bakterye same, czy też ich produkty, zwane enzymami — badania nad tym ciekawym, a zagadkowym problemem — zaczynają się dopiero. Przyjąwszy za pewnik, że bez drobnoustrojów próchnica zębów powstać nie może, zupełnie chyba logicznie rozumowano, że gdy zastosujemy w ustach takie przetwory, które zdołają zniszczyć drobnoustroje, jamę ust wyjałowić, to tem samem, docierając do źródła złego, będziemy w możności — powstawaniu próchnicy zapobiedz, albo zjawienie się jej utrudnić, opóźnić. To rozumowanie stworzyło cały szereg wód antyseptycznych do ust, skombinowanych z wszelkich możliwych przetworów chemicznych — i nie wiele czasu było potrzeba, by się co do ich zapobiegawczej skuteczności rozczarować i przekonać, że mimo ich najskrupulatniejszego użycia próchnica na zębach występuje, i jeśli w wielu przypadkach może mniej gwałtownie, to jeszcze niewiadomo, ile z dodatniego skutku położyć trzeba na karb antyseptyki jamy ust. Musi być zatem jakaś ważna przyczyna, dla której to logiczne założenie, w imię którego stosuje się antyseptyczne wody — zawodzi i to z reguły nieomal zawsze. Oto przyczyny: Po pierwsze: środki antyseptyczne w tem zgęszczeniu, które niezbędnem jest do zniszczenia bakteryi, są w jamie ust nie do użycia, albo dla swego wstrętnego smaku, albo też dlatego, że błonę śluzową ust drażnią za silnie. Przykład niech to najlepiej wyjaśni. Jeśli mamy na skórze ranę — i do jej dezynfekcyi chcemy użyć n. p. 5% kwasu karbolowego — możemy tę ranę tak mocnym rozczynem przemyć kilkakrotnie bez obawy znaczniejszego bólu. Kwas karbolowy 5% w ustach sprawiałby tak silne pieczenie, że odechciałoby się pacyentowi ponownej próby. Weźmy inny środek, n. p. sublimat w rozczynie 1:4000. Jako płukanka jamy ust jednorazowa, jest jeszcze możliwy — po kilkakrotnem użyciu daje się tak we znaki przez to, że zostawia wstrętny, metaliczny posmak, iż z użycia jego codziennego musimy zrezygnować. Wobec tego jesteśmy zmuszeni te antyseptyczne płyny używać w słabszym rozczynie, czyli nie osiągnąć tego, cośmy pragnęli. To jest pierwszy powód, dla które-



Bosa tancerka.

go dezynfekcya jamy ust jest niemożebna. Gdyby się atoli dało skombinować taką płukankę, którąby była zdolna drobnoustroje i ich zarazki wyniszczyć — to mimo to tą drogą nie moglibyśmy zapobiedz próchnicy. Udowodniono bowiem niezbicie, że jeżelibyśmy w danej chwili płukanką wydezynfekcyonowali usta dokładnie, to już po kilku lub kilkunastu minutach będziemy mieli w ustach całe miliony bakteryj. Widzimy z tego, że ich zdolność do rozmnażania się jest tak potężna, iż przeciwdziałać jej w ustach prawie że nie możemy. Jesto prawdziwie syzyfowa praca, którąbyśmy zaczynać musieli od początku co kilka minut i to bez wszelkich szans powodzenia. Z tego wynika jasno, że spodziewać się nie mamy prawa, abyśmy kiedykolwiek i w przyszłości tą droga mogli naszym zębom przynieść wielką pomoc. Przeświadczenie to wyrobiło między badaczami takich sceptyków, którzy wszelkiej wartości antyseptycznym płukankom ust odmawiają. Sceptycyzm to może za daleko posunięty, na każdy bowiem sposób nie może być obojętnym dla zębów, czy nad ich uszkodzeniem pracują miliardy bakteryi bez przerwy, czy też tylko miliony i to w rozwoju swoim przez słabą nawet antyseptykę nieco zahamowane. Pewnej, chyćby minimalnej, skuteczności tym płukankom odmówić więc nie można — przyzwyczajenie się do ich częstego używania jest w najgorszym razie aktem mechanicznego odczyszczenia jamy ust, przy którem pozbywamy się może większej ilości bakteryi, niż je zdołamy wytępić bakteryobójczem działaniem płynów.

Z jednej więc strony nie mamy racyi entuzyazmować się tą lub
da do ust, z drugiej — nie mamy powodu zaniechać zupełnie jej używania. Grzechem tylko byłoby pójść na lep reklamy, która przy użyciu zachwalanej wody do ust obiecuje tyle cudownych skutków! Żadna woda do ust nie zdoła zapobiedz próchnieniu zębów — o tem pamiętać koniecznie należy. Mimo najusilniejszych zabiegów, najskrupulatniejszej czystości — zjawiać się będą w zębach próchnicowe ubytki — których rozszerzeniu się i dalszym skutkom zapobiedz możemy tylko przez — plombowanie.



Nasza mowa.

Gdzie jest Polak —tam jest Polska...
Dźwięczy jak harfa Eolska
Ludna, śpiewna mowa nasza.
Żaden gwałt nas nie przestrasza;
Sam Bóg dobył jej dźwięk z łona,
A więc wieki przetrwa ona
I zwalczona będzie żyła,
Bo w niej moc jest, bo w niej siła.
Czyliż może porość pleśnią
Mowa, która chwali pieśnią
Pana Panów od stuleci?
Wszak pieśń polska leci, leci,
Jak na skrzydłach Archanioła
I do Boga — kocham! — woła.
Mogą skuć nam dłonie, szyje,
Ale mowa w sercu żyje,
Ona wolna, skuć się nie da,
Ona ojców naszych scheda,
Lotna, wznosi się jak ptasze
I rozgrzewa serca nasze.
Pielęgnować ją więc trzeba
I w niej prośby słać do nieba
I kołatać tam tak długo,
Tak cierpliwie swą zasługą,
Mrówczą pracą i pokutą
I tak dźwięczyć modlitw nutą,
Aż się wreszcie Bóg przejedna
I — odetchnie Polska biedna.

Paula Wężyk.



Od jamy do pałacu.

Technika budownicza o wiele dalszej sięga przeszłości niż każda inna gałąź techniki. Człowiek najdawniejszej przeszłości, owej epoki, która może dziesiątki tysięcy lat leży przed naszą rachubą czasu, był z konieczności myśliwym i wiódł życie koczujące, wędrował po najrozmaitszych okolicach, idąc zawsze śladem zdobyczy i najprostszemi sposobami strzegł się

przed napaścią dzikich zwierząt oraz przed dotkliwemi zmianami powietrza.

Co do pierwotnej formy ludzkiego mieszkania, to zdania bardzo są podzielone; to jedno przecież nie ulega wątpliwości, że szukać jej należy w jamach, krzewach i lochach w ziemi. Takiemi były zapewne pierwsze początki naszych dzisiejszych domów kamiennych i drewnianych.

Natura sama wskazała drogę do techniki budowniczej. Jaskinie, nory i lochy w ziemi zwabiły człowieka do siebie i wyłożone suchemi liśćmi, mchem i skórami zwierząt, wcale niezłem mu były mieszkaniem.

Później, mając już narzędzia kamienne, zaczęli ludzie powiększać istniejące w ziemi jamy i utworzyli sobie w końcu kunsztownie powikłane ścieżki i kryjówki w wnętrzu jam, w których zupełnie się czuli bezpieczni przed napaścią zwierząt lub nieprzyjaciół. Tam, gdzie na płaszczyznie np. nie było żadnych naturalnych lochów i jam, tam służył im za schronienie las i gęsty krzew; z drzewa i liści tworzyli mieszkania, nie tak bezpieczne jak w lochach i norach, ale za to przewiewniejsze i zdrowsze. Rozłożyste korony drzew były już poniekąd dachem — gałęzie zaś zgięte aż do ziemi i przytwierdzone kołkami tworzyły ściany. Była to pierwsza chata.

Lecz i w drzewach samych mieszkali ludzie; próżne pnie olbrzymich dębów, buków, lip itp. były nadzwyczaj wygodną siedzibą. Później mieszkano też i na drzewach — a takie „powietrze stancye“ znajdują się dziś jeszcze w niektórych okolicach Sudanu, i — prawie nie do uwierzenia — w Paryżu! Kilku dziwaków urządziło sobie tam mieszkania na wysokich platanach i nie zamieniliby ich na żadne najzbytkowniejsze apartamenty na ziemi.

Pierwotny kształt właściwej chaty był bez wątpienia wysoki u góry i rozszerzający się ku dołowi, a więc taki jak kószka. Formy tej używano przeważnie tam, gdzie było dosyć materyału giętkiego drzewa — tyczki bowiem musiały być w środku zgięte i obydwoma końcami wkopane w ziemię. Przez połączenie takich łuków powstała sklepiona, przykryta u góry izba w formie kószki, spajaniem zaś pojedyńczych łuków i obłożeniem ich gałązkami, mchem, ziemią, lub mierzwą, można utworzyć bezpieczne i ciepłe schronienie. Tam, gdzie są drzewa iglaste, budowano więcej chat kulistych. Układano w ziemię proste tyczki i to tak, że górne cienkie końce łączyły się razem i podpierały nawzajem W ten sposób powstały zarysy podłużnej kuli, a mieszkanie takie było też równie mocno zbudowanem, jak owe kószki.

Chaty te były naturalnie bardzo skromne, a pobyt w nich nie bardzo, jak na nasze pojęcia, przy[illegible] w ciasnej izbie (jeżeli to wogóle izbą było można nazwać) musiał być nieustannie utrzymywany ogień — nie posiadano wówczas jeszcze sposobu rozpalania dowolnie ognia, to jest, szybkiego rozpalania. Bo krzesanie ognia było długą i mozolną pracą. — Chaty takie były wiosną i latem dostatecznem schronieniem, ale w zimnej porze roku miała się rzecz zupełnie inaczej. Z nadejściem jesieni trzeba było zamienić chatę na mieszkanie w ziemi; kopano więc jamy i jako dach kładzono na nie latowe chaty. Był to sposób prosty i łatwy i tak powstały nowe mieszkania, w czasach przedhistorycznych bardzo rozpowszechnione.

Przez połączenie kilku chat powstały zwolna osady i wsie, zabezpieczone palisadami od napaści rozmaitych nieprzyjciół. Palisady te, czyli pewna ilość słupów, wbitych w ziemię, jeden obok drugiego, tworzyły formę przejściową od chaty do właściwego domu, do budowli o ścianach i dachu. Dalszy rozwój doprowadził do mieszkań na palach, czyli blokach, których konstrukcya polegała na tem, że kładziono pale jodłowe lub świerkowe horyzontalnie jeden na drugi aż do wysokości ściany, rogi zaś, gdzie się pale spotykały, wiązano razem.

Wiadomo, że ten sposób budowania nietylko, że się aż do naszych przechował czasów, ale nadto, że bywał używanym teraz właśnie, w czasach najwyższej cywilizacyi. W rozmaitych miastach są nawet domy takie najmodniejsze. W Norwegii i Rosyi widzimy najwięcej domów na palach, w Szwajcaryi są one sławne, tak samo jak i kościoły skandynawskie.

Nie należy zapominać, że rozwój domu mieszkalnego w rozmaitych czasach i rozmaitych okolicach różnił się mniej lub więcej jeden od drugiego tak jak i dziś. Jest to wynikiem naturalnych warunków, każdy bowiem bierze w pierwszej linii to, czego mu otoczenie dostarcza. Tak było, jest i będzie. Gdzie się znajdowały naturalne jamy, tam zamieniano je na mieszkania, gdzie były skały, tam wykuwano sztuczne schroniska, gdzie były drzewa, tam budowano chaty z gałęzi i liści i pali.

W niektórych okolicach znajdujemy jednak budowle z kamieni i drzewa, są to późniejsze czasy — i takie domy istnieją dziś też jeszcze, mianowicie w środkowych Niemczech, w Saksonii i Schwarzwaldzie.

Budynki z kamieni stały się z początkiem 18 wieku największymi wrogami dotychchczasowego sposobu budowania — kamienie ustąpiły cegłom, a dziś panuje wszechwładnie żelazo. Bo jak w każdym wydziale techniki, tak i w technice budowania ogromna zaszła w przeszłem stuleciu zmiana. Sztuka budowlana na wysokim stanęła stopniu i to dzięki konstrukcyom żelaznym i używaniu betonu i żelaznego betonu. Co się zyskało, do czego umiejętność budowania doszła, tego najlepszym dowodem wspaniałe, pomnikowe gmachy i pałace oraz niebotyczne kamienice amerykańskie.



Strefniona kawa.

(Humoreska.)

Nieboszczyk ks. Infułat Krzemieński,*) był za młodu bardzo pobożnym chłopaczkiem, ale też ogromnie lubiał od czasu do czasu spłatać komuś dobrego figla. O jednym z nich chętnie sam opowiadał.

Było to tak:

Jako student bawił u państwa Homdaczów w Zakopanem w charakterze korepetytora do synów.

Otóż zdarzyło się, że ktoś w domu ciężko zachorował. Zawezwano podówczas doktora Dietla z Krakowa, który też chętnie przybył z pomocą, ale wymówił sobie, żeby po drodze były rozstawione konie, gdyż musi pilno wracać do miasta.

Jak zażądał tak się stało. A kiedy doktór szybko załatwił swoje i miał powracać, przystąpił do niego młody Józio Krzemieniecki z prośbą, aby go z sobą zabrał do Krakowa, bo mu się nie prędko taka okazya nadarzy, a chciałby jechać z wakacyj do szkoły. Zgodził się pan doktór i pojechali razem.

Do Mogilan wszystko szło w porządku. Konie były porozstawiane, jak należy, tak, że pan doktór mógł jeszcze na postojach udzielać porady lekarskiej różnym petentom, zgłaszającym się do niego, na wiadomość o przejeździe, tak sławnego lekarza.

W Mogilanach nie zmieniano już koni, tylko podróżni sami wstąpili do oberży na popas. Kiedy konie i ludzie dostatecznie odpoczęły, pan Dietl ka-

*) Zmarł w zeszłym roku.

zał iść Józefowi do żyda po rachunek. Józio zajadał właśnie chleb z kiełbasą i tak, jak stał, — chleb w jednej ręce, kiełbasa w drugiej, — idzie do sklepu.

W sklepie zastał tylko żydówkę z dzieckiem na ręku, zapijającą smacznie kawę. Skoro przedstawił swój interes, żydówka wstała i poszła szukać męża.

Z tej chwili skorzystał Józio i nie namyślając się wiele, — macza swoją kiełbasę w garnuszku z kawą, z którego piła żydówka. — Co też ona z tem zrobi? — pomyślał.

Zaledwo jednak dobrze kiełbasę umaczał, strach go wziął, że z tego może być jakaś grubsza awantura. Więc rzuca kiełbasę do garnuszka, wraca do doktora i zaczyna naglić do odjazdu.

— Dobrze! dobrze; mój kawalerze! Ale co będzie z rachunkiem? — zauważył pan Dietl.

— To nic! To nic!.. Jedźmy! jedźmy! — upiera się Józio — pan doktór zapłaci gdzieindziej!

— Ale cóż się stało takiego? — próbuje perswadować lekarz. — Ale Józio nie uważa na nic, ciągnie go gwałtem do powozu i tylko swoje powtarza uparcie:

— Jedźmy! panie jedźmy!...

Zaledwo jednak doszli do powozu, krzyk przeraźliwy przeszył powietrze od strony sklepu...

— Aj waj! Aj waj!.. Gewałt!... gewałt!... Gdzie ten szlachcić?!... Gdzie ten paskidnik!?.. Wun mnie struł: Gewałt!... Ratujcie!...

To pani kupcowa tak zawodziła nad swoją strefnioną kawą.

Słysząc te krzyki, Józio, jeszcze bardziej naglił do odjazdu, ale doktór przeraził się na seryo, że to jakiś wypadek nagłego zasłabnięcia i nie pytając dalej, pobiegł w stronę, skąd krzyk dochodził. Wpada do sklepu, gdzie się już cała rodzina żydowska razem za służbą zgromadziła i zastaje żydówkę rozkraczoną za bufetem, jakżeby w ataku konwulsyi, lamentującą i spazmującą, że aż uszy bolały słuchać.

Długi czas nic nie można było z niej wydobyć, prócz tych samych wykrzykników:

— Ten szlachcic!... Ten paskidnik!... Aj waj!... Gewałt!

Pan Dietl chwyta za puls — normalny, zagląda do ust — język czysty, dotyka czoła — gorączki ani śladu, więc już zaczął przypuszczać, że ma do czynienia z jakimś atakiem histerycznego szału.

Wtem żydówka pokazuje na garnuszek z kawą:

— Tfy! tu! — panie doktór.. tu on narobił!.... Ach jej!... Ach jej!.. — Ja już zaraz bende umiracz...

W tej samej chwili jeden z młodszych żydków dostrzega pływającą w garnuszku kiełbasę i pokazuje ją obecnym. Na jej widok żydówka jeszcze bardziej poczyna wrzeszczeć:

— To wun! to wun!... to ten kilbas to narobił!... Ja jemu zaraz poznacz! Niech pan doktór powąchuje!..

Doktór powąchał kawę i rozśmiał się w całe gardło.

— Rozumię już, rozumię!... Ktoś wsadził pani kiełbasę do kawy... No, no.. Nic pani nie będzie... Niech się pani nie boi!

— Jakto nie bendzi!... Jakto się nie boi... Ja już teraz nie żydówka... Ja już tref!... Aj waj!... I moje dziecko od piersi także tref!... Aj waj!...

— Ależ pani, toż to tylko figiel niewinny.

— Jaki figiel!? Co za figiel?!.. Dla mnie to nie ma żaden figiel... Ja, jak żyje, jeszcze takie paskustwo nie kosztowała.

— Pani nie kosztowała, ale inni kosztują i jedzą ze smakiem i nic im się nie dzieje złego...

— To katoliki! to ony mają świński żcładek.. Im nie szkodzi... My żydy nimamy takich mocnych żołądków. My jesteszmy kuszer!

— Kuszer, nie kuszer, z żołądkiem to nie ma nic wspólnego... Niech mi pani wierzy...

— To pan doktór tak mówi... Ale tamten gałgan, tamten szlachcic, to on mnie pewnie chczał strucz! Ja jemu bende do kryminału skarżyć...

— Jaki gałgan? Jaki szlachcic?

— Ny!... ten młody szlachcic, co przyjechał z pan doktór. On tu przyszedł z tym kilbas.. On mi kazał iszcz do męża po rachunek, a jak ja wróciła, to jego już nie buło, tylko ten figiel od niego...

— Krzemieński?... A to huncfot — zadziwił się poczciwy pan doktór.

Kazał zawołać nieszczęsnego figlarza, a gdy tenże przyznał się do wszystkiego, sami żydzi wybuchnęli śmiechem i sprawa załagodziła sę od razu. Doktór wyjaśnił żydom znaczenie koszernego jadła, zapłacił rachunek, żydówce dał jakieś krople, uspokajające nerwy i pożegnał całe towarzystwo w najlepszym humorze, zabierając ze sobą Józia.

Nikt im nie robił żadnych trudności w odjeździe, tylko żydówka na pożegnanie groziła jeszcze ręką Krzemińskiemu:

— Panie szlachcic!... Panie huncfot!... Niech pan na drugi raz takie figle nie robi bez doktora, bo może być sprawe kryminalne.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 9-go lutego 1135 zrabowanie Wiślicy przez Rusinów. — 1454 zaślubiny Kazimierza Jagiellończyka z Elżbietą Austryaczką. — 1649 bitwa z Kozakami pod Mozyrem.

Dnia 10-go lutego 1321 ogłoszenie wyroku na Krzyżaków. — 1404 Krzyżacy wpadają do Litwy. — 1564 pożar Częstochowy. — 1574 orędzie Henryka do stanów. — 1640 sejm waruje przywileje szlacheckie. — 1792 śmierć Andrzeja Zamoyskiego.

Dnia 11-go lutego 1408 śmierć Jakóba Plichty, biskupa wileńskiego. — 1579 wjazd do Grodna Stefana Batorego. — 1646 uroczysty wjazd do Gdańska królowej Ludwiki. — 1658 sejm nadzwyczajny.

Dnia 12-go lutego 1386 wjazd do Krakowa Władysława Jagiełły. — 1609 zdobycie Parnawy. — 1628 stracona ze Szwedami bitwa pod Górznem. — 1706 rozprawa ze Szwedami pod Wschową. — 1796 śmierć Stanisława Poniatowskiego.

Dnia 13-go lutego 1386 poselstwo Jagiełły do Jadwigi. — 1716 Fleming zaledwie życie unosi z Piotrkowa. — 1825 ukaz zamykający obrady sejmowe przed publicznością.

Dnia 14-go lutego 1386 chrzest Jagiełły i zaślubienie Jadwigi. — 1422 małżeństwo Władysława Jagiełły z Zofią. — 1792 zaprzysiężenie na sejmikach konstytucyi 3-go maja.— 1831 zniesienie Moskwy pod Stoczkiem.

Dnia 15-go lutego 1383 wszczęta wojna domowa o wybór króla. — 1563 posłowie pruscy na sejmie piotrkowskim. — 1656 przez manifest w Zembowie Karol IX ogłoszony najezdcą Polski.

Humor i satyra.

Moskal i Polak.

Zeszedł się Moskal z Polakiem i począł się chwalić o swoim kraju a Polak o swoim.

Moskal: U nas to jest taka dobra, urodzajna ziemia, że fasola taka wielka rośnie, co najwyżej cztery ziarna zmieszczą się do garnka!

Polak: U nas to znów tak wielka kapusta rośnie, że pod jedną główką szwadron ułanów może stanąć!

Moskal: U nas w Moskwie jest taka wysoka wieża, co ma pięć wiorst wysokości.

Polak: U nas w Krakowie jest

taka wysoka maryacka wieża, że dziadkowi memu trzy razy wróble się w uszach wylęgły zanim upadł na ziemię.

* * *

Dziwne lekarstwo.

Zachorował Wojtek na kurcze w nogach zatem sprowadzono mu doktora, ale doktór bardzo słabo mówił po polsku, więc z wielką biedą tak się dogadał z Kaśką, siostrą Wojtka.

— Bierz ty Kaszka koczyca, potłykaj dobrzy, pomywaj octem i przyłoży mu na łydka chory Wojtek a z ty recipta bierze pigułka z aptyka, co godzina jeden połykać! Tak powiedział doktór i odjechał.

Kaśka poleciała na wieś szukać kocicy, czyli kotki, ale nie mogła nigdzie dostać kocicy, bo był, albo koczur, albo jeżeli kotka, to jej dać nie chciano. Idąc stroskana ze wsi, chwyciła przy jednej chałupie koczura. Myśli sobie — gdzież będę kotki szukać, koczur to samo pomoże co i kocica. Przyniosła koczura do domu, utłukła w stępie, polała octem i przyłożyła Wojtkowi na łydki. — Wojtkowi się jednak nie poprawiało nic — więc znów za trzy dni posłała po doktora tego samego. Doktór przyjechał i wszedłszy do izby zaraz na wstępie mówi — Kaszka! co je tu takowa smród fe!

— To kocicę Wojtkowi tak na nogach czuć, rzecze Kaśka.

— A Herr Jezu! trzy dni kocica na łydki, to piekielny fajer bedzie dostać Wojtek. Poszedł zaraz do Wojtka, odwinął łaty z nóg i mówi — A pfe! fuj Kaszka to nie kocica!

— Jezus kochany — rzecze Kaśka, jak też pan doktór poznoł, że to nie kotka ino koczur, ale com miała robić kiedy kotki niemogłam nigdzie dostać.

Głupi Kaszka! rzecze doktór. Dopiero wszedł ktoś co umiał po niemiecku i wytłumaczył Kaśce, że gorczycy z octem kazał doktór Wojtkowi na łydki przyłożyć, jeno tak wymawiał, że go zrozumiała inaczej.

* * *

Toast na cześć humoru.

Czem dla pociągu konduktor, dla bankiera dukat i luidor, dla mieszkania wentylator, dla żołnierza major, dla wekslarza kantor, dla opery tenor, dla astronoma zaćmienie słońca, dla szlachcica faktor, dla fabryki motor, dla klasztoru przeor, dla panny kawaler, dla Wiktoryi Wiktor, dla chemika bor i chlor, dla szkoły rektor, profesor, inspektor, dla sądu asesor, dla zapałki fosfor, dla indyczki indor i dla kaczki kaczor, tem niech będzie dla nas ludzi, zdrowych fizycznie i duchowo, humor!

* * *

Niewierny.



Jaś: „Panie Kufelek! Panie Kufelek!"



Kufelek: „A czego tam chcecie smarkacze?"
Jaś: „Ano, Józek nie chce wierzyć, że pan ma nos czerwony!"...

* * *

Iskry humoru.

Przełożona szpitala: Pani chce wstąpić do nas jako pielęgnarka... A ma pani w tym kierunku jakie doświadczenie?

Panna: Och... proszę pani! Mam pięciu braci: jeden jeździ zapamiętale na rowerze, dwóch na automobilach, jeden jest awiatorem, a najmłodszy zawziętym footbalistą!

Zagadka.

Nadesłała czytelniczka „Pracy" pani Walerya Michałowska z obczyzny.

Pierwsze wraz z **pierwszą drugiego**
To nazwa miasta polskiego,
Pierwsze bez **pierwszej litery**
Złącz z **drugiem** a z starej ery
Otrzymasz imię tak znane.
Chłościa tytułowane
Są jednostki możnych ludzi.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 13-go lutego włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie powyższej zagadki.

Szan. Czytelników prosimy, aby dla zaoszczędzenia opłaty pocztowej przesyłali rozwiązania zagadek **tylko na pocztówkach.**

Rozwiązanie szarad z nr 4-go:

I. **Kapitol.**
II. **Pilot.**

Trafne rozwiązanie nadesłali do dnia 30-go stycznia r. b. włącznie następujące osoby:

Z PROWINCYI: pp. Zofia Weinert z Borku, W. Raczkowska z Opatowa.

Z GALICYI: pp. Kazimierz Bielski z Czulic Hipolit Wodecki z Wadowic.

ZE ŚLĄSKA AUSTRYACKIEGO: p. Józef Malinowski z Jabłonkowa.

Z OBCZYZNY: pp. Franciszek Dereziński i Alojzy Śliwa z Berlina.

Nagrodę otrzymali: pp. W. Raczkowska z Opatowa, Kazimierz Bielski z Czulic, Józef Malinowski z Jabłonkowa, Franciszek Dereziński z Berlina.



Nasz kącik.

Na ślizgawce.

Świeci słonko złoty blask,
Słychać łyżew suchy trzask,
Młodzież z śmiechem naprzód mknie,
Nie ma to, jak mroźne dnie!
Świszcze wiatr od białych pól,
A tu stoi śnieżek — król,
Kulki gwiżdżą tu i tam,
Ach, jak dziś wesoło nam!
Nie ma tchórzów, każdy zuch,
Buch po plecach kulką — buch,
Śnieg się sypie w białych skrach,
Taki strzał, to żaden strach!
A więc dalej, żywo w bój,
Nie umykaj Janku, stój,
Ani kroku teraz w tył.
Popróbujem naszych sił!
Ej, czerwieni ci się nos,
Trudno, to łyżwiarzy los,
Baczność! Kreśl ósemkę tak,
Lecz nie padnij czasem w znak!
Patrzaj, tam przerębel lśni,
Tam mknąć, oj, nie radzę ci,
Gdzie lód cienki nie chodź też,
Wpierw go okiem dobrze zmierz!
Nim na szklistą stąpisz toń,
Krzyżem zawsze naznacz skroń,
Nie bój się, że rzeknę — tchórz,
Ty zrób swoje, no — i już!
Teraz naprzód raz, dwa, trzy!
Kto mknie prędzej, ja, czy ty?
— Buch... Co? Leżysz? Wstańże w mig
I otrząśnij z kurtki śnieg!
Ej, nie! Nie roś oczu łzą,
Cóż to, czy z szkła jesteś, co?
Chłopiec mazgaj, pfe, to wstyd,
Nie płacz Janku, cicho, cyt!
Janek szybko otarł łzy,
Mknie wraz z Stachem — raz, dwa, trzy...
Świeci słonka złoty blask,
Słychać łyżew suchy trzask,
Młodzież z śmiechem naprzód mknie,
Nie ma to, jak mroźne dnie!

P. W.

* * *

Złota kroniczka.

Podaję dzisiaj kilka dobrych uczynków dzieci kącikowych. Imion, ani nawet pseudonimów nie wyjawię, bo te w tajemnicy szepnięto tylko przyjaciółce na ucho. 1. Młodziutka panieneczka, choć sama z trudem zdobywa naukę, uczy kilkoro dzieci. 2. We wsi jest ciężką niemocą złożona kobieta. Lituje się nad nią złote serduszko, panieneczka odwiedza ją i aby pokrzepić, czytuje żywoty świętych. 3. Dawna służąca, staruszka 80 letnia, na łaskawym chlebie u dobrych państwa, zdrzemnęła się, siedząc na krześle. Kiwa się, kiwa, już, już ma spaść, wtem kochane dziewczątko ujrzawszy to, podparło ją i zatrzymało. 4. Staruszek włościanin wiózł drzewo z lasu. Spadło mu parę polan, chłopczyk pobiegł, pozbierał i podał je starcowi. 5. Szedł chłopiec, dźwigając ciężki kosz. Chciał przeskoczyć przez kałużę błota, wtem — bęc — upadł i kosz go nakrył. W blizkości stał drugi chłopiec i widząc to, wybuchnął śmiechem. Prędko jednak ucichł i skoczył z pomocą. W chwilę potem nadjechał w całym pędzie samochód; pewnie byłby zmiażdżył biednego chłopca. 6. A teraz jeszcze obrazek, na który patrzałam własnemi, radosnemi oczami: Din — din! Przerwa w nauce. Ze szkół wybiegają uczniowie. Dwóch skoczyło po łakocie, do obcego, narożnego składu. Wtem, schwycili pod ręce trzeciego koleżkę i ciągną go z sobą. Jeden przemawia doń naszą mową, drugi obcą. Ciągną go z całych sił, ale on jak gdyby wrósł nogami w próg i ruszyć się nie dał. Czerwony jak burak z pałającemi oczyma bronił się i opierał: „Nie chcę tu iść, nie chcę stad czekolady!“ Dzielny studencik, prawda? Niech żyje młodziutki Polaczek i niech więcej będzie takich! Brońcie się dzieci przed złem, a starajcie sie korzystać z każdej sposobności, aby się drugim przysłużyć. Myślcie mniej o sobie, a więcej o drugich, bo samolubstwo, to brzydki chwast, który z serduszek wypleniać trzeba! Czy mi to obiecujecie?

* * *

Czarna kroniczka.

Tak tak, niestety, jest i taka, ale do dać muszę, że wiadomości do niej nie z liścików są zaczerpnięte, lecz z tego co ku wielkiemu zmartwieniu sama widziałam i słyszałam: Cudne popołudnie, ze ślizgawki dzieci wracają. Oto trzech braciszków Polaków, obcą zabawiają się rozmową.... A tu znowu dziewczynka, również Polka, idzie w towarzystwie dwóch nie Polek i naturalnie: „Kiedy wejdziesz miedzy wrony, musisz krakać jak i one,“ więc w obcym rozmawia języku. Ha, widocznie takie ma w nim upodobanie, że nawet po za szkołą szuka sposobności rozmawiania nie po polsku... W szkole, moja miła, bądź uprzejma i grzeczną współuczennicą, ale po przestąpieniu jej progu szukaj towarzyszek i przyjaciółek tylko wśród swoich, wśród rodaczek! Nie zapomnaj, że Polką jesteś! Zosiu, Zosiu, pamiętaj o tem zawsze i popraw się, proszę o to usilnie!

P. W.

* * *

Czy wiecie kto umarł?

Oto odszedł na zawsze człowiek bardzo zacny i szlachetny, który was, dzieci bardzo kochał i wiele dla was pracował — Władysław Bełza. Pisał on śliczne wierszyki i pewnie nie ma chłopczyka, któryby nie znał katechizmu polskiego dziecka: „Kto ty jesteś? Polak mały i t. d.“ Zmówcie dziecinki paciorek i proście Bozi, aby dał niebo temu, który pracując dla was, dobrze, uczciwie i szlachetnie żył tu na ziemi!

* * *

Odpowiedzi.

Kochanej Pszczółce z Kórnika i Bolkowi z nad Odry dziękuję za liściki, a Jaskółeczce z niewoli za kartkę. Donieś mi kochanie, na którą pensyą Rodzice cię oddadzą. Staś Rychlicki. Krotoszyn. Wypracowania bardzo dobre, ale nadesłane trochę za późno. A liściku czy nie napiszesz? **P. W.**

* * *

Prawdziwy obrazek z przed pół wieku.

(Ciąg dalszy.)

Już od listopada wrzało w Sandomierskiej ziemi. Szykowano cichaczem broń różną, kuto kosy i piki. Na dany znak do małej mieściny — Jastrzębia, ściągnęli mieszczanie z Radomia, robotnicy z okolicznych fabryk i młodzież z wyższych klas gimnazyalnych, a wśród ich grona i trzech przyjaciół — Tadeusz, Stach i Stefek. Partyą tą dowodził były oficer wojsk rosyjskich Jasieński. Dnia 22-go stycznia wieczorem po uroczystem nabożeństwie rozdano wszystkim broń i chcąc niespodzianie wypłoszyć wojsko rosyjskie, oddział ruszył ku miasteczku Szydłowiec, gdzie się znajdowała moskiewska załoga. Gęsta mgła otulała pola. Wkrótce zaczęły prószyć wielkie płaty śniegu. Po rozmokłej ziemi powstańcy sunęli się cicho, jak cienie. Wtem, z boku wyłonił się drugi, większy oddział żołnierzy, zasypanych śniegiem, jak gdyby widma białe poruszających się wśród pól. To Langiewicz ze swą drużyną. Połączyli się towarzysze i poszli razem. Niestety, nim do Szydłowca przybyli, by przyłapać tam wroga, już moskiewski szpieg, żyd z Jastrzębia, zawiadomił o tem Moskali i oto wojsko rosyjskie w bojowym szyku czekało powstańców. Zawrzała walka kilkogodzinna. Udało się naszym wyprzeć Moskala z miasteczka, lecz, gdy nad ranem strudzeni długim pochodem i bitwą usnęli, Moskale niespodzianie atak powtórzyli. Wszczął się popłoch i nieład. Napróżno rozbrzmiewał głos komendy: Do broni! Ręce rozespanych powstańców drżały z pośpiechu i broń wypadała na ziemię. Dowódca Jasieński bił i siekł nieprzyjaciół wokoło, ale kilka razy raniony padł wyczerpany i wzięto go do niewoli. Tadeusz, Stach i Stefek jak zawsze razem i widząc, co się dzieje, chcieli go odbić Moskalom. Skoczyli naprzód, lecz w tej samej prawie chwili ugodzony kulą w serce Tadzio, padł martwy w oczach towarzyszów. Stach jęknął i jak szalony, chcąc pomścić przyjaciela, puścił się we wrogie szeregi. Sołdat moskiewski rąbnął go szablą przez ramię. Stach broń upuścił, otoczono go i wzięto do niewoli. a Stefka omdlałego i krwią broczącego towarzysze unieśli i w bezpiecznem złożyli miejscu. Poległo naszych kilkunastu, a kilku jęczało, cierpiąc strasznie. Wyprawa tak dobrze zaczęta, źle się skończyła. Moskale naszych wyparli z Szydłowca.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Wiktor Gomulicki.

BÓJ OLBRZYMÓW.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

47)

(Ciąg dalszy.)

Książę Józef i jego „wiara“ używają dosyta krwawej kąpieli. Nie ostudza ona wrzącego w ich piersiach płomienia. Książę wkracza do Mohilowa, a pierwsze słowo, jakie tam z ust jego wybiegło, brzmi:

— Psiakrew! — Drapaka dali!...

Bagration, choć na głowę pobity, wyśliznął się księciu. Co gorsze, wszystko wskazywało, że się z prawem skrzydłem swej armii połączył. Nie znalazłby go już wszakże w obozie pod Dryssą.

Już silniejsza od planów strategicznych potęga uniosła go ztamtąd i rzuciła, mimo Witebska — pod Smoleńsk.

I książę Józef w Mohilowie długo popasać nie mógł. Policzył swe szeregi, zasmucił się stratami, jakie w nich poczyniły kule i gorsze od kul, głodem wywołane choroby, pocieszył się widokiem nieuszczuplonej, dzielnie trzymającej się Księstwa Warszawskiego artyleryi, i niewiele bawiąc, ruszył z kopyta, mimo wsi i miast przydrożnych — pod Smoleńsk.

A gdy tak obaj różnemi drogami pod mury prastarego grodu dążą, zdawało się, że Napoleon w zdobytym Witebsku utknął, i już się stamtąd nie ruszy.

Cesarz pod same mury Witebska za cieniem się upędzał; nic dziwnego, że wstąpiwszy w nie, cień tylko pochwycił. Z pod ręki wywinął mu się Barclay. Mniemając że z nim walczy, rozprawiał się tylko z jego arjergardą.

Witebsk okazał się pustką. Po jego wyludnionych ulicach snuła się tylko garstka wystraszonych, napół obłąkanych żydów, oraz Jezuitów kilku, z pozoru potulnych i pokornych, lecz z dwuznacznym na wygolonych wargach uśmieszkiem.

Pominąć chciał cesarz miasto, urągające mu głuchą ciszą i przeraźliwem ubóstwem. Ale wojsko, wycieńczone bitwami, pochodem i niedostatkiem, wielkim głosem dopominało się spoczynku. Panował przytem upał niezmierny, zmagający nawet tych, co niegdyś żary afrykańskie zwycięzko przetrwali. Sam Napoleon, którego wzrastająca tusza coraz słabszym czyniła, znużonym się czuł.

Silna wola cesarza potrafiła przemódz wrodzony mu wstręt do pustki i ciszy. Zwołał radę wojenną, do której należeli: król Neapolitański, wicekról i książę Neufchatelu, i która postanowiła dłuższy postój w Witebsku odbyć.

Napoleon w namiocie, rozbitym pod samem miastem, rozporządził jaknajdokadniej wszystkiemi oddziałami Wielkiej Armii. Każdemu wskazano punkt, z którego dalszą rozwijać miał akcyę: Poniatowskiemu — Mohilew, Davoutowi — Orszę, Muratowi, Neyowi, armii włoskiej — przestrzeń od Orszy i Dubrowny aż do Witebska. Wielkie korpusy, od środka armii oddzielone, powierzono: Dąbrowskiemu, księciu de Reggio i Macdonaldowi — pod Bobrujskiem, Połockiem i Rygą. Książę Bassano pozostał w Wilnie.

W mieście przygotowano dla cesarza kwaterę. Pośpieszył do niej wprost z namiotu. Wchodząc do pokoju, mającego być jego gabinetem, z uczuciem prawdziwej ulgi rozerwał guzy surduta, odpiął szpadę, na stół pokryty papierami rzucił ją, i siadając ciężko na fotelu, głosem jaknajbardziej stanowczym oświadczył:

— Tu przybyłem — tu pozostanę! Użyję tego czasu na dokładny przegląd armii, na doprowadzenie jej do porządku, na zapewnienie jej krzepiącego wywczasu. Kampania tysiąc osiemset dwunastego roku zamknięta; wznowi ją i do końca doprowadzi — rok tysiąc osiemset trzynasty.

Powiódł bystrym wzrokiem po obecnych, i dodał jeszcze:

— Zapomniałem o jednem. Zajmę się także — urządzeniem Polski.

Przebrał się w lekkie, luźne ubranie, które zabezpieczać go miało od gorąca, i mimo pory spóźnionej, zabrał się do pracy.

Na podłodze rozłożono wielką kartę Rosyi, wszędzie za cesarzem w oddzielnej skrzyni wożoną. Napoleon skinieniem wyprosił wszystkich od siebie; dyżurnemu oficerowi przykazał, żeby nie pozwalał nikomu przeszkadzać mu w pracy.

Przy zapuszczonych roletach i mnóstwie świec zapalonych, zwyczajem swym położył się, z cyrklem i ołówkiem w ręce na mapie, i długo, słowa francuskie i włoskie pod nosem mrucząc, mierzył, ołówkiem kreślił, na palcach obliczał, myślał, kombinował...

W gmachu zajętym przez cesarza, w mieście, na przedmieściach i w obozie całym, nastała północna cisza, którą przerywały tylko okrzyki szyldwachów i dalekie psów szczekanie.

W obszernej, prawie pustej izbie, leżący na olbrzymiej mapie cesarz wydawał się dziwnie małym, nikłym... Posuwał się zwolna, jakby pełzając i poszukiwał coraz nowych punktów, w które wbijał duże szpile z kolorowemi łebkami.

Nagle drgnął, doznawszy nieprzyjemnego, znanego sobie uczucia. Po wyłysiałej czaszce przebiegł mu jakby podmuch zimnego wiatru.

Gwałtownym, energicznym ruchem, porwał się na nogi. Do stołu pośpieszył, chciał siąść...

Miejsce jego było zajęte.

Na fotelu rozpierał się drugi On, wzmniejszonych rozmiarach, cały krwawo-czerwony.

— A!... — westchnął głęboko cesarz bez wielkiego jednak zdziwienia i trwogi nadmiernej. Oczy mu się tylko rozszerzyły i twarz nabrała wyrazu osłupienia.

Przysunął sobie drugi fotel i usiadł naprzeciwko Czerwonego człowieczka.

Przez długą chwilę zatapiali w sobie nawzajem przenikliwe, do głębi duszy sięgające spojrzenia. Do oczów, rzec można, przeniosły się na tę chwilę ich dusze.

Potem zawiązał się między nimi dyalog — dyalog niemy, wzrokiem tylko samym prowadzony.

— Znów grozisz? — pytał Napoleon.

— Ostrzegam... — odpowiedział gość.

— Już to czyniłeś.

— Tak, lecz mnie nie posłuchałeś.

— Dobrze mi z tem.

— Źle.

— Nie jam temu winien...

— Ty.

— Czego żądasz? W spokoju mnie zostaw.

— Po coś tu przyszedł?

— Światło nieść.

— Kłamiesz!

— Potęgę Francyi szerzyć.

— Kłamiesz!

— Polskę wyzwolić.

— Kłamiesz!

— Zanadtoś dziś przenikliwy. A więc: przyszedłem siebie samego wywyższyć, tron dla syna umocnić, dynastyę ustalić.

— To nie wszystko.

— Cóż jeszcze?

— Nie miłość cię wiodła.

— Niema na nią w sercu mem miejsca.

— Wiodły cię: duma podrażniona i nienawiść.

— To sprężyny równie dobre, jak inne.

— Pędzonyś także przez chorobę, która ci spokoju nie daje.

— Prawda.

— Przez zazdrość.

— Prawda. Mój przeciwnik w pełni sił; ja chylę się ku starości...

— I przez fatalność.

— Jej się nie wyrwę.

— Lecz innych wyrwać możesz.

— Nie chcę. Cóż dla mnie inni! Śmiertelni są pod memi stopami. Depcę po nich. Bóg jestem!

— Więc nie stawaj w miejscu. Idź, dokąd cię los pędzi.

— Skupić się muszę, wypocząć.

— Naprzód! naprzód!

— Ustałem; ciało moje ku ziemi ciąży...

— Naprzód! naprzód!

— Więc pójdę. Krzepki jestem i lotny.

— Zobaczymy się jeszcze.

— Nie chcę.

— Musisz!

W cesarzu zbudził się Korsykanin. Zaklął, pięść zaciśniętą wyciągnął...

Ale Czerwonego człowieczka już nie było.

Napoleon osunął się na fotel, wstrząsany drgawkami.

Nazajutrz armia otrzymała rozkaz dalszego pochodu. Za Bagrationem, Barclayem, Davoutem, Poniatowskim, i Napoleon ruszył — na Smoleńsk.

ROZDZIAŁ V.

Smoleńsk.

Kapitan Mroczek, owinięty długim fałdzistym płaszczem, z głową wzniesioną, ze skrzyżowanemi na piersi rękoma, ze stopą na wywróconej lawecie wspartą, wpatrywał się w groźny natłok starych, ponurych, obronnych murów.

Oddzielała go od nich duża przestrzeń, rojąca się zbrojnymi ludźmi, końmi, mnóstwem wozów i namiotów, a dalej: szumna, wezbrana rzeka, która w czerwieni zachodzącego słońca krwią zdawała się płynąć.

Mroczek stał na wzgórzu, panującem nad tym chaosem. Blada jego twarz z czarnym zarostem i prawidłowemi rysami była tragicznie piękna. Brwi ściągnął; oczy mu gorzały — wiatrom, falom, ziemi i niebu rzucał dźwięczne, patetycznie wygłaszane aleksandryny...

— Jowiszu! niebios władco, niezrównany w mocy!
Dziś, przed zgaśnięciem słońca, przed powrotem nocy,
Daj, bym pyszny Pryjama zamek mógł obalić
I ogniem nieprzyjazne Troi bramy spalić!
Daj, bym włócznią napierśnik skruszył Hektorowy!
By nikt z jego żołdaków nie uniósł ztąd głowy!

Nieopodal stało dwóch starszych, poważnych oficerów: generał Grabowski i pułkownik Zakrzewski. I oni przyglądali się ze wzruszeniem potężnym murom Smoleńska — budziły w nich one wszakże wspomnienia nie literackie, lecz historyczne.

Grabowski opowiadał młodszemu od siebie towarzyszowi, jak to przed dwustu laty, po wielomiesięcznej mitrędze, gdy już o zdobyciu warownego grodu wątpiono, otworzył doń drogę podstępem osiemdziesięcioletni „kawaler Maltański“ Bartłomiej Nowodworski. Fortel polegał na zapaleniu „petardy“ w kanale ściekowym, którego wylot znajdował się u stóp góry, tuż przy Dnieprze.

— Sądny to był dzień, pułkowniku — kończył generał. — Okropna siła wybuchu rozrywała skałę, domy z ludźmi wyrzucała w powietrze — rozwaliła kościół pełen modlących się, którzy ginęli pod gruzami... I patrz, kolego: „kawaler“, któremu groziło: być w strzępy porwanym, wyszedł z tego piekła nietylko zwycięzcą, lecz zdrowym i całym.

Zakrzewski mruknął posępnie:

— Obawiam się, żeby z nami nie stało się wręcz przeciwnie...

— Pod jakim względem?

— Pod obydwoma.

Tamten spojrzał mu w oczy, i — choć to był dzień upalny — wzdrygnął się. W tych oczach tail się blask złowrogi, który nigdy nie myli.

Zadudniała ziemia pod kopytami galopujących koni. Na czarnym, ognistym turczynie objeżdżał pozycye w towarzystwie swych adjutantów wódz prawego skrzydła: książę Józef. Uśmiechnięty był, wesoły; żywy rumieniec barwił mu okrągłe policzki. Siedział na koniu, lekko, zręcznie, z wdziękiem takim, jakby nie paszcze armat przed sobią miał, lecz pełne strojnych dam balkony.

— Do jutra, kamraci! — rzucił rozmawiającym, szybko ich mijając.

Przy Mroczku na chwilę konia osadził.

— Do jutra, kapitanie! — z uśmiechem zakrzyknął. — Okryj się laurami — wykwitnie z pomiędzy nich... różyczka!..

Zbladł Mroczek, a zaraz potem płomień rumieńca na twarz mu buchnął. Chciał coś powiedzieć, lecz książę odsadził się już daleko.

W miejscu, górującem nad całą okolicą, mając przed sobą, jak na dłoni, miasto, zamek i wiodące ku nim białe wstęgi gościńców, stał ze sztabem swym Napoleon. I cesarz i jego generałowie, pokryci kurzem, spoceni, tylko co zsiedli z koni, które nieopodal przeprowadzano.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Przepowiednia kabalarki.

Z oryginału angielskiego przełożyła M. K.

7)

Sylwia towarzyszyła Annie do jej pokoju, gdzie Anna wyjęła pieniądze.

— Użyjesz przejażdżki, mimo że z tą śmieszną, starą kobietą — rzekła do Sylwii — a ja wystaram się o kartę wstępu do klubu dla ciebie. Jeżeli sobie życzysz, możesz już dzisiaj grać, ale nie myślę, aby moja droga, słodka przyjaciółka kiedy bardzo grę polubiła chociaż i w tem nicby złego nie było.

Gdy przyjaciółki zeszły na dół, zastały państwo Wachner rozmawiających po cichu, ale z wielkiem zainteresowaniem. Sylwia usłyszała nawet, że pan Wachner mówił w lichej francuszczyźnie „tu nic nie można zrobić, Zofio. Waryjacya tracić czas w podobny sposób“ — na co pani Wachner odpowiedziała: „Tyś zawsze jest bez nadziei. Mówię ci, że jest coś do zrobienia. Zostaw mnie wszystko.“

Potem zobaczywszy Sylwię dodała: „Mąż mój twierdzi, że ostatni system go zawiódł, ale mówię mu, że fortuna kołem się toczy i że ma wszystkie szanse wygrania. Pani Wolska przyniesie mu szczęście“, mówiąc to zdawała się być zaambarasowaną bardzo.

— Telefonowałam o powóz otwarty, każdej chwili musi nadjechać. Mamy was odwieść najpierw do kasyna?

— Nie — odrzekł pan Wachner — ja w każdym razie wolę iść pieszo.

— I ja także — dodała Anna. — Nie czekajcie za nami, jedźcie, skoro powóz będzie na miejscu.

I tak rozstali się pani Wolska i wysoki pan Wachner, a Sylwia z panią Wachner, w przeciwną stronę każda para.

Okolica tuż przy Lacville nie jest piękna; powóz był niewygodny, a koń stary i zmęczony, a jednak Sylwia cieszyła się jak dziecko przejażdżką.

Pani Wachner rozmawiała serdecznie ze Sylwią, wypytując ją o całe życie, aż wreszcie niespodzianie spytała:

— Ale niezadługo pani pewno powtórnie zamąż wyjdzie, czy pani już zaręczona?

— O, nie — Sylwia potrząsła głową.

— Ale pani jest młoda i piękna. Byłaby zbrodnia, gdyby pani nie miała iść zamąż. Kocham piękność. Pani mnie nie widziała w ostatnim tygodniu, ale ja zobaczywszy panią, powiedziałam do mego męża „o to bardzo piękna kobieta przyjechała do Lacville“, on śmiejąc się odpowiedział mi „no to teraz będziesz zadowolona, będziesz miała na co patrzeć.“ I to jest prawda. Gdy byłam tam wieczorem, nie widziałam pani i było mi przykro — ale teraz będziemy się spotykać częściej, prawda? — Będzie pani też grywać w klubie?

Po raz drugi pytała o to samo Sylwię.

— Troszkę — odpowiedziała ostatnia — nie chciałabym popaść w manierę graczy.

— Doprawdy, to byłoby okropnie. A potem nie wielu ma na to, aby przegrywać i ryzykować, a następnie zmieniając temat, zaczęła Sylwia szczegółowo opowiadać o śmierci młodego Rosyanina.

— Nie mówię nigdy o tem do Fryca — ale naturalnie często myślimy oboje. O to było okropne. — Byliśmy bardzo przywiązani do niego. On z moim mężem wypracowali system wspólnie i właśnie codopiero wygrali dużo pieniędzy. Ale ta przykra śmierć złamała nasze szczęście.

— Jak się to stało?

Jechali razem z Frycem łódką po jeziorze Bourgh, to prawdziwe jest jezioro, nie taki stawek jak tutaj, nagle przyszła burza, łódka się przewróciła, Fryc wypłynął, ale ten nieszczęśliwy nie umiał pływać. Może pani sobie wyobrazić moje zmartwienie. Byłam we willi, drżąc ze strachu. Pioruny, błyskawice, deszcz, wszystko razem. Nagle widzę Fryca bladego jak śmierć, idącego ścieżką nad jeziorem. Gdzie jest Sasza? — pytam — a on patrzał rozpacznie głową — Sasza był w jeziorze.

Mówiąca patrzyła nieprzytomnym wzrokiem przed siebie. Zdawało się jakby znowu tę straszną scenę przeżywała — lub jakby widziała oczyma duszy bladą twarz utopionego.

— A długo trwało, zanim go znaleźli? — spytała Sylwia cicho.

— Nie znaleźli go wcale — to było najdziwniejsze, jego ciała nie znaleziono nigdy. Dużo ludzi myślało, że pieniądze, które miał przy sobie, tak zaciężyły, że poszedł na same dno i zaplątał się w trzciny i rośliny wodne. Czy wspomniała pani Wolska, że to dużo hałasu narobiło swego czasu?

— Tak — rzekła Sylwia.

— Nie miał wiele pieniędzy przy sobie, bo dużo znaleziono po śmierci w jego pokoju. Pieniądze oddano w ręce policyi, która nastawała na to.

— A nie rodzinie? — spytała Sylwia.

— On nie miał rodziny. To był rosyjski szlachcic, ale był też nihilistą, tak że trudną było sprawdzić jego tożsamość. Dla nas było dobrze, że znaliśmy wpływową osobistość w policyi, ale mimo to mieliśmy dużo nieprzyjemności. Niedobrze było też, że Sasza nie miał paszportu, ale ja im to powiedziałam, bo biedny Fryc zupełnie głowę stracił. Bardzo to dobrze mieć zawsze przy sobie paszport i być zameldowany, czy pani ma paszport?

— Paszport? Nie, nie mam. Nie widziałam nawet nigdy paszportu. Pocóż miałabym mieć taki papier?

— Jeśli pani jest zagranicą, jest zawsze dobrze mieć przy sobie paszport, który ułatwia wszelkie trudności. Ale nie myślę, żeby pani teraz go potrzebowała — wyjeżdżając z kraju, zwykle odbiera się paszport.

— A jaki jest pani kraj? — spytała Sylwia — czy pani jest Francuzka — myślę, że mąż pani jest Niemiec?

Pani Wachner potrząsnęła głową.

— Gniewał by się, gdyby to słyszał. Nie, nie, on jest Wiedeńczyk, a co do mnie, jestem kosmopolitką, jestem obywatelką całego świata.

ROZDZIAŁ VIII.

Jechały długi przeciąg czasu — wreszcie woźnica obrócił się na koźle i zapytał dokąd ma zajechać.

— Proszę panią na herbatę do siebie — rzekła pani Wachner — nie jesteśmy daleko od Namiotu konwalii, a mam tam doskonałą herbatę. Wypoczniemy chwilę, a woźnicy każemy zajechać godzinę później. Co pani na to?

— O pani bardzo uprzejma — rzekła Sylwia z wdzięcznością i rzeczywiście była rada propozycyi.

Zabawne będzie zostać na herbacie we willi Wachnerów — Sylwii podobała się każda nowość, nie była jeszcze nigdy w prywatnym domu francuskim.

— Do „Namiotu konwalii“ — krzyknęła pani Wachner woźnicy.

— Ludzie w Lacville chcieliby jak najwięcej pieniędzy zarobić — mówiono mi, że wszystkie posiadłości szalenie podrożały.

— Szkoda byłoby te piękne lasy wyciąć — rzekła Sylwia, wskazując na zieloną wstęgę lasów w oddali.

— Nie interesuję się okolicą — rzekła pani Wachner obojętnie.

Powóz zatrzymał się przed wązką białą furtką. Przeszły przez duży, zaniedbany ogród, który przytykał do lasu, widzianego z daleka.

Bardzo dziwny, fantastyczny prawie był budynek, do którego weszły. Nic niestósowniejszego jak nazwa „Namiot konwalii.

Ściany malowane na jasno różowo, ozdobione bronzowemi i białemi kwiatami, wyglądały dziwnie, pospolicie.

Okienice były szczelnie zamknięte, tak że ani jeden promień słoneczny nie mógł się przedostać.

Sylwia dziwiła się, że państwo Wachner tak zaniedbali ogród, troszkę starania mogło go było zupełnie zmienić. Nawet ścieżka prowadząca do domu była chwastem i zielskiem porosła.

Ale pani Wachner była widocznie zadowolona ze wszystkiego, domu i ogrodu.

— To śliczny dom, prawda? — spytała. — I tylko tysiąc franków za umeblowany płacimy na cały sezon.

Sylwia prędko policzyła 40 funtów, tak w istocie nie było to drogo.

— Przyjechaliśmy w maju i zostaniemy do października — rzekła pani Wachner — mam posługaczkę z miasta — przychodzi co rano i ugotuje co potrzeba i wszystką robotę domową załatwi. Często jemy śniadania w hotelach, a obiady zawsze. Żywność jest droga we Francyi, ale wychodzimy taniej tak, niż gdybyśmy we willi mieszkali.

Znalazły się teraz w małym salonie, poprzedzającym pokoje, tak małym, że nie było gdzie złożyć kapelusza i zostawić parasolki.

Pani Wachner wyprzedziła Sylwię i wprowadziła ją do zupełnie ciemnego pokoju.

— To nasz pokój jadalny — rzekła dumnie — wejdź pani, tutaj wypijemy herbatę.

Sylwia weszła. Jakże ciemno i nieprawdopodobnie gorąco tu było. Na kilka minut nie mogła rozróżnić przedmiotów — powoli rozeznała umeblowanie, pokój jadalny miał dużo mebli, ale był cały bardzo brzydki.

Na środku stał stół na niefroterowanej posadzce, otoczony sześcioma trzcinowemi krzesłami. W rogu stał ordynarny, drewniany bufet, bez żadnej ozdoby Ściany malowane na różowo, tu i tam były wypełzłe.

— Nie jest tu prześlicznie? — zapytała pani Wachner. — A teraz pokażę pani nasz śliczny salonik.

Salonik był trochę większy od jadalni, ale był równie brzydki, bez wdzięku. Mała sofka, przykryta tanim obiciem i cztery niewygodne fotele uzupełniały skromne umeblowanie. Na kominku stał zegar oprawny w szkło i dwa tanie lichtarze. Nie było ani książki, ani obrazka, ani kwiatów.

Obydwa pokoje zdawały się nie być zamieszkałe. Ale naturalnie państwo Wachner mało byli w domu.

— A teraz przygotuję herbatę — rzekła pani Wachner tryumfująco.

— Nie mogłabym pani pomódz — rzekła Sylwia nieśmiało — lubię przyrządzać herbatę — każda Angielka to lubi — a na prawdę bała się zawsze zostać w tych dusznych pokojach.

— Ale pani śliczna suknia — nie zabrudzi się w kuchni?

Pani Wachner pozwoliła Sylwii wejść do kuchni, która się tuż za pokojem jadalnym znajdowała.

— Co za śliczna, czysta kuchenka! — zawołała Sylwia. Ucieszyła się, że nareszcie coś mogła szczerze pochwalić, a w istocie kuchnia była najprzyjemniejszem miejscem w domu, bardzo czysta z błyszczącemi naczyniami kuchennemi, ustawionemi na półkach. — Pani posługaczka musi być doskonała w swoim zawodzie.

— Tak — jest dosyć dobra. Ale ci Francuzi, jakże chciwi są na pieniądze. Wie pani, ani chwili nie zostałaby po nad swój czas.

Mówiąc to, wstawiła wodę na maszynkę i zapaliła okowitę. Potem wyjęła dwie filiżanki i nadtłuszczony chiński herbatniczek.

Sylwia nakroiła chleba i dopiero teraz, stojąc blizko okna, zauważyła lasek, dotykający do ogrodu.

— Czy lasek ten należy do państwa? — zapytała.

— O nie — odrzekła — to jest na sprzedaż na opał.

— Pani musi tu być dziwnie nieswojo w nocy — nie ma nigdzie sąsiedztwa, ani w prawo, ani w lewo.

— Niedaleko stoi willa, ale my nie jesteśmy nerwowi, nie mam nic kosztownego w domu, nic na co by się kto złakomić mógł.

Sylwia przypomniała sobie, że państwo Wachner muszą mieć dużo pieniędzy w domu, grając w ruletę, jak to twierdziła Anna, niepodobno, aby pani Wolska wszystko miała nosić przy sobie w małym woreczku.

A potem jak gdyby pani Wachner odgadła myśli Sylwii, dodała:

— Co do naszych pieniędzy, pokażę pani, gdzie je zwykle noszę. Przyjdź pani do pokoju sypialnego i może pani tam zdejmie kapelusz. Będzie to pani wygodniej.

Poszły do sypialni, której okna również jak kuchni wychodziły na lasek.

Po kuchni, sypialnia była najsympatyczniejsza, choć tak samo jak salonik i jadalnia, nadzwyczaj była biednie umeblowana.

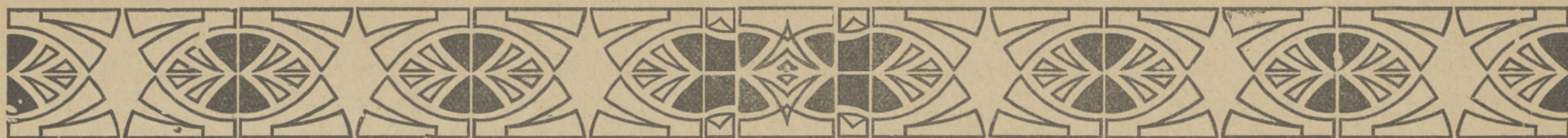
Nie było komody, ani gotowalni, suknie pani Wachner wisiały na drzwiach. Ogromny kufer stał przy drzwiach. Stół do pisania był przy oknie, a na nim leżało trochę papierów, bibuły i książeczki, które Sylwia poprzednio widziała w ręku pana Wachnera w kasynie. Ale łóżka były czysto, wygodnie zasłane i tuż przy pokoju łazienka.

— To jest najgłówniejsza rzecz — rzekła pani Wachner — mój mąż nie pozwoli mi nigdy wziąć pokoju bez łazienki — on bardzo lubi czystość — dodała z dumą, jakby to było coś nadzwyczajnego zamiłowanie do porządku.

— Pewno jest dużo domów we Francyi bez łazienki— rzekła Sylwia.

— Tak. — Francuzi nie są czystym narodem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



W płomieniach.

7) Z francuskiego tłumaczyła **M. P.**

— Tak jest! Wiem już teraz!

— Co? — spytał Tigol przestraszony.

— Otwór po prawej stronie był pierwszy. Morderca patrzał nim, podczas kiedy Martinez pracował nad drugim. Strzelił więc przez otwór — prosto w oko. I to było pierwszem jego wielkiem głupstwem!

— Jakto?

— Chodźcie, pokażę wam coś, — zawołał Coquenil, wybiegając szybko do numeru siódmego. — Weźcie pistolet i postępujcie tak, jak gdybyście byli mordercą! Wstrzymujecie z tej strony ściany oddech, podczas kiedy świder zwolna się przez ścianę przebija. Widzicie ukazujący się jego czubek i przykładacie oko do pierwszego otworu. Widzicie, jak kobieta przytrzymuje portyerę i jak Martinez wyciąga świder i odkłada go. Teraz schyla się i przyciska twarz do ściany — widzicie oko jego tuż przy otworze — prędko — podnosicie pistolet i naciskacie cyngiel..... Nie, nie, on strzelił przez lewy otwór!

— A do lcha, jest to niewygodnie! Otwór ten jest tak blizko bufetu, że nie mogę wcale zmieścić twarzy i przygotować oka do celowania!

— To jest prawego oka? Więc spróbujcie lewego!

Tigol upuścił pistolet i obrócił się.

— Pan myślisz, że....

— Że morderca w ostatniej chwili zdecydował się na niewygodny strzał przez lewy otwór blizko bufetu, chociaż mógł wygodniej strzelić przez prawy! Że wybrał otwór lewy, jest dowodem, że.....

— Że morderca musi być tak zwanym mańkutem, *) — zawołał Tigol z tryumfującym uśmiechem. — Ach Boże, gdybym ja był tym człowiekiem, to wolałbym, aby mnie sam szatan ścigał niż pan Andrzej Coquenil!

ROZDZIAŁ VIII.

Około piątej rano opuścił Coquenil hotel. Szedł przez Pola Elizejskie, oddychając z przyjemnością świeżem, rannem powietrzem, a pomimo, że słońce już się na niebie ukazało, panował tu największy jeszcze spokój. Jaka to była noc okropna! Życie jego zmieniło się zupełnie w przeciągu kilku godzin! Czy postąpił dobrze, zostając w Paryżu? Czy powinien był jechać do Brazylii? Na czem polegała nagła zmiana jego postanowienia? Na śnie nieznajomej dziewczyny i na dziwnym przypadku! Czy to wystarczało?

Ale teraz nie czas było nad tem się zastanawiać. Podjął się przeprowadzenia tej sprawy i musiał obowiązek swój wypełnić. O dziewiątej musiał być w Pałacu Sprawiedliwości, aby zdać panu Ville relacyę z dotychczasowego śledztwa. Poprzednio postanowił więc iść do łazienek, odświeżyć się zimną kąpielą, a potem, dla wzmocnienia muszkułów, „pracować“ pół godziny z zawodowym atletą. Na spanie zostawały mu dwie tylko godziny, ale to mógł sobie później powetować.

*) Człowiek, który pracuje lewą ręką.

Oglądał się teraz właśnie za dorożką, aby prędzej stanąć w łazienkach, gdy nagle ujrzał zbliżającego się ku sobie mężczyznę, który widocznie zamierzał do niego przemówić. Mężczyzna ten był średniego wzrostu, nie młody, o twarzy bladej i ciemnej, siwizną przypruszonej brodzie, okryty zaś był długim płaszczem w formie peleryny i miał na głowie wysoki, lśniący cylinder.

Gdy stanęli naprzeciwko siebie, zdjął nieznajomy cylinder i rzekł grzecznie:

— Dzień dobry, panie Andrzeju.

Wymowa jego zdradzała cudzoziemca.

— Zkąd pan wie, że mi Andrzej imie? — zapytał Coquenil, patrząc uważnie na nieznajomego.

— O, ja niejedno wiem o panu! Wiem naprzykład i to, że pan wierzysz w sny! Czy wolno mi iść z panem dalej?

— Mniejsze o to, — rzekł detektyw, w mocnem przekonaniu, że spotka go coś niezwykłego.

— Przebrałeś się pan dziś w nocy za dorożkarza! Był to żart wcale nie zły! — zaczął znowu nieznajomy.

— Ach, to pan i o tem wiesz?

— Tak, i o stanowisku, jakie cię czeka w Brazylii. Naszem życzeniem jest, abyś zmienił postanowienie i przyjął to miejsce! Radzimy to panu szczerze!

Ton i sposób mówienia nieznajomego był szorstki. Mówił głośno i prędko, jak człowiek, przyzwyczajony do rozkazywania.

— Kto jest „my?“ — spytał Coquenil.

— Pewne osoby, interesujące się sprawą w hotelu Ansonia.

— A z których polecenia pan tu jesteś.

— Pod pewnym względem — tak.

— Osoby, które wiedzą o tem, że zbrodnia została popełnioną, i które wiedzą, kto jest mordercą?

— Może być.

— Wiesz pan może, dlaczego Martinez wywiercił otwory w ścianie?

— Uczynił to na życzenie pewnej kobiety.

— Czy ona pragnęła śmierci Martineza?

— Nie, ona chciała tylko zajrzeć do numeru siódmego.

Ta otwartość nieznajomego wprawiła Coquenila w niezmierne zdumienie. Musiał to być człowiek niezwykły, którego należało się bardzo strzedz.....

— Czego pan właściwie chce odemnie? — zapytał ostro.

— Osoby, z których polecenia tu jestem....

— Powiedz pan spokojnie: osoba, — przerwał Coquenil. — Zbrodniarz tego rodzaju nie ma wspólników.

— Jak pan chcesz! Więc osoba, z której polecenia tu jestem, nie życzy sobie, abyś pan się tą sprawą zajmował.

— Pojmuję, że zbrodniarz nie chce być wyśledzonym, ale powiedz pan swemu przyjacielowi, albo znajomemu, że życzenie jego bardzo mi jest obojętne!

Coquenil mówił umyślnie w tonie szyderczym i wyzywającym, ale nieznajomy pozostał zupełnie spokojny.

— Może zmieni pan swe zdanie, — rzekł, wyjmując z kieszeni kopertę, napchaną banknotami i związaną tasiemką. — Za stracony czas i daremny trud zapłacę panu ile chcesz!

Coquenil zdumiał. Kto to mógł być? Kto śmiał jemu, Andrzejowi Coquenilowi ofiarować w ten sposób pieniądze? Czy on wiedział, kto był mordercą, albo — może to był morderca sam.

Bezmyślnie wziął kopertę i patrzał na nią, nie wiedząc, co na to powiedzieć.

— Jest tam 50,000 franków dla pana, — odezwał się nieznajomy, a w dzień odjazdu do Brazylii otrzymasz tę samą sumę jeszcze raz! Pozwól mi dokończyć! Pomyśl pan, że te pieniądze nie mają nic wspólnego z pensyą, jaką będziesz pobierał w Brazylii, i że stanowisko tamtejsze da ci sposobność do stania się sławnym człowiekiem. Bo przecież panu chodzi jedynie o sławę — tą sprawą zająłeś się też tylko dlatego, aby o tobie mówiono i pisano!

Coquenil rozśmiał się pogardliwie.

— O sławę wcale mi nie chodzi, — rzekł. — Sprawą tą zająłem się dla własnej przyjemności.

— Nie dowiesz się pan niczego! — zawołał nieznajomy groźnie.

— Czemu nie?

— Bo są tacy, którzy na to nie pozwolą.

— Jakto?

— Napotkasz pan wszędzie trudności niezwalczone, a gdybyś pomimo to upierał się przy swych zamiarach, to czeka cię zemsta, o jakiej nie masz pojęcia! Twój pies — twoja matka i....

— Jak pan śmiesz, — krzyknął Coquenil, — coś podobnego mówić...

— O, my mówimy wszystko, co nam się podoba, — odrzekł nieznajomy równie szorstko. — Nie uważałeś pan tego jeszcze? Czy sądzisz, że nie wiem, o czem teraz naprzykład myślisz?

Śmiałość a raczej zuchwałość tego człowieka była dziwnie zajmującą. Znał on bezwątpienia niebezpieczeństwo, na jakie się narażał. Był to rzeczywiście morderca sam, który śmiał zbliżyć się do urzędnika policyi z groźbą i zamiarem przekupienia go? Czy myślał, że on, Coquenil, pozwoli mu spokojnie odejść, mając go już raz w swych rękach? Tak, ale czy go już miał?

I jak gdyby w odpowiedzi na tę myśl, rzekł nieznajomy:

— Nic to panu nie pomoże, jeżeli stawisz nam opór! Znamy wszystko doskonale — nawet całą przeszłość pana.

— Doprawdy? — rozśmiał się detektyw. — Może panu wiadomo, jak imię mej gospodyni i memu kanarkowi?

— Owszem, gospodyni imię Melania, a kanarek jest gilem i nazywasz go pan „Piotrusiem“.

— Wcale nieźle, — pochwalił go Coquenil i zamyślił się znowu na chwilę.

— Wiemy także o tem, że zrzucono pana z urzędu — przed dwoma laty, że rozmawiałeś wczoraj w kościele Notredame z pewną młodą piękną dziewczyną — słowem — o wszystkiem. I pan chcesz nam się opierać? Chcesz śledzić ludzi, którzy śledzą ciebie i którzy wiedzą dokładnie, kiedy jesteś bezbronnym wobec nas — jak naprzykład teraz? Czemu zostawiłeś pistolet ojcu Tigolowi?

Milcząc, oddał mu Coquenil kopertę z pieniędzmi.

— Weź pan to! — rzekł, gdy nieznajomy stał nieporuszony.

— Odmawiasz pan przyjęcia tych pieniędzy?

— Naturalnie!

— Zaczynasz być hardym, przyjacielu? Wątpisz o naszej potędze? W takim razie pozwól, że ci jej dowiodę! Każ mnie aresztować! Spróbuj! Wiem, że myślałeś już o tem, i chciałbym cię przekonać, że nawet w tem, co dla ciebie jest tak prostem i łatwem, doznałbyś klęski i upokorzenia. Nie myśl pan, że się chełpię, pragnąłbym tylko, abyś wiedział, z kim masz do czynienia. Widzisz mnie dziś po raz pierwszy w życiu i nie zobaczysz mnie już nigdy, ale słyszeć będziesz o mnie! No, gdzież jest twoja świstawka? Zwołaj policyę do pomocy!

— Jeszcze nie, — odpowiedział Coquenil spokojnie. — Pragnąłbym jeszcze stawić panu kilka pytań...

— Ile tylko chcesz!

Coquenil obserwował nieznajomego z natężoną uwagą i natężeniem wszystkich władz umysłowych i spostrzegawczych. Czy broda była fałszywą? Czy twarz była rzeczywiście tak śniadą, czy tak doskonale pomalowaną? A ręce? Coquenil nie spuszczał z nich oczu, lecz nieznajomy trzymał kij w prawej ręce, zdjął kapelusz prawą i podał mu kopertę także prawą ręką! O tem aby to był mańkut, nie mogło być mowy!

— Czy pan ma coś przeciwko mojej osobie? — zapytał nareszcie.

— Przeciwnie, podziwiamy pana i pragniemy twego dobra.

— Ale grozisz pan memu psu...

— Tylko w tym razie, gdybyś nas pan zmusił do tego.

— I nawet mojej matce...

— Też tylko w razie potrzeby.

Chwila stanowcza nadeszła, nie dlatego, że niepohamowany gniew ogarnął Coquenila na te słowa nieznajomego, ale dlatego, że w tejże chwili zbliżał się ogromny czerwony automobil i zatrzymał się po drugiej stronie promenady z gwałtownie pracującym motorem. W mgnieniu oka błysnęła detektywowi myśl, że automobil ten raz już przejechał koło nich. Naturalnie! I dlatego czuł się nieznajomy tak pewnym siebie! Na przedniem siedzeniu ujrzał dwóch tęgich, silnych mężczyzn — pomocników, którzy mieli go walić w razie aresztowania! Trzeba więc działać — teraz, albo nigdy!

— Pytam dlatego... — zaczął zwolna, potem nagle z szybkością błyskawicy wyrwał świstawkę z kieszeni i gwizdnął przeciągle. Nieznajomy cofnął się w tył, lecz Coquenil był już przy nim! Jedną ręką schwycił go za gardło, drugą pchał silnie w tył, aby go rzucić na ziemię. Nieznajomy jednak rozwinął zręczność niepospolitą. Gwałtownem szarpnięciem ramion uwolnił się z rąk detektywa i przeszedł sam do zaczepki, wymierzając cios w kark Coquenilowi, nie pięścią, tylko płaską ręką, jak to czynią Japończycy, gdy chcą trafić przeciwnika w tętna. Ale Coquenil schylił się i uderzenie trafiło go w ramię.

— Uderzył mnie prawą ręką, — pomyślał.

Równocześnie poczuł palce nieznajomego na swem gardle i ucieszył się, znał bowiem tric Jiu-Jitsu, ubezwładniający wroga. Schwycił obydwiema rękami ramię nieznajomego, poniżej łokcia, poszukał wprawnym palcem żyły i muszkułu i ubezwładnione w jednej chwili ramię zaczął wolno, lecz mocno wykręcać z stawów.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

